



<http://rcin.org.pl>

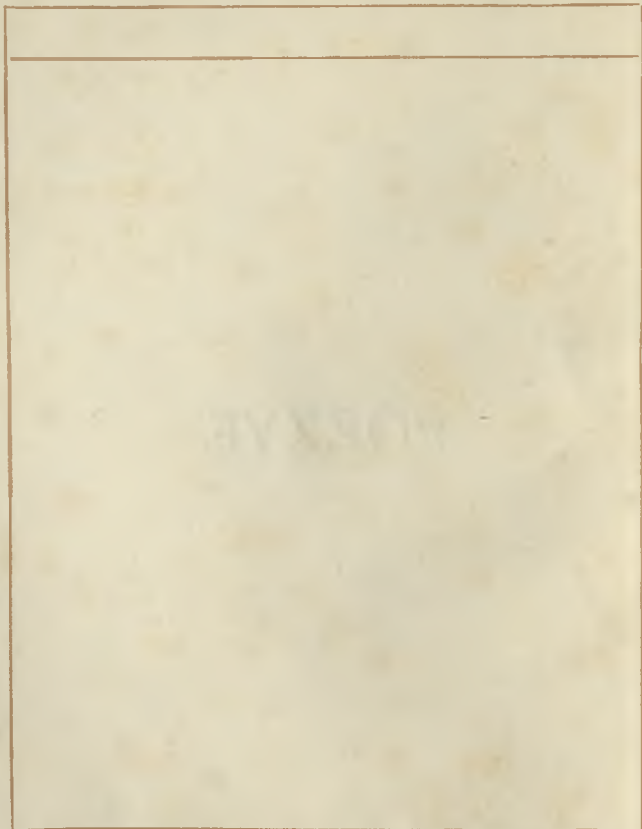
P O E Z Y E
WACŁAWY
GRODZICKIEJ-
CZECHOWSKIEJ
Z PRZEDMOWĄ
JÓZEFA
JANKOWSKIEGO

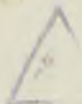


WARSZAWA 1913
GEBETHNER I WOLFF

POEZYE

<http://rcin.org.pl>







<http://rcin.org.pl>

POEZYE
WACŁAWY GRODZICKIEJ-
CZECHOWSKIEJ

Z PRZEDMOWĄ
JÓZEFA JANKOWSKIEGO



WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF
1913



—
i-19.698

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

PRZEDMOWA

Przed dwoma laty, gdym sprawował obowiązki redakcyjne w „Świecie“, wśród gromady listów — z nieudolnemi najczęściej wierszami — nadszedł pewnego dnia list, zawierający kilka sonetów o tak przedziwnej pięknosci i kunszcie bez skazy, że, zachwycony niemi, poczuwałem się do obowiązku, poza umieszczeniem ich w „Świecie“, oznajmić autorce mój zachwyt i dowiedzieć się czegoś bliższego o niej. Niestety, list poza nazwiskiem, nieznanem w literaturze, Waławy Grodzickiej, nie zawierał zupełnie adresu. Odcyfrowałem ze stempla pocztowego stacyę wśród stepów Chersońskich i tam skierowałem me pismo. List ten, jak później się dowiedziałem, nie doszedł do rąk autorki. Po dwu latach atoli — iż dobre uczucia trafią zawsze do źródła — autorka sama (młodziutka osoba, która już jednakże zdążyła przez te dwa lata zamienić nazwisko panięskie: Grodzicka na mężowskie: Czechowska)

zgłosiła się do redakcyi i złożyła na me ręce cały zeszyt poezyi.

Gdym, po przeczytaniu, oznajmił jej, że jest wielką, pierwszorzędną poetką, omal nie rozplakała się ze wzruszenia. Kilka lat pracy twórczej wewnętrznej i kołysanych samotnie nadziei w imię najszczerzej poezyi spotkały się po raz pierwszy z uważną oceną rzeczoznawcy i stwierdzeniem najzacniejszej sprawy. Następstwem naturalnem mego zachwytu było to, iż namówiłem niezwłocznie autorkę do wydania tego zeszytu, podjąłem się opieki nad wydawnictwem i zaproponowałem jej opatrzenie go moim wstępem, na co zgodziła się łaskawie.

W rękopisie nie tknąłem ani jednego wyrazu, gdyż, doprawdy, miałbym wrażenie, zmieniając to i owo, że dotykam bluźnierczo iskrzących się tęczą kropel rannej rosy, lub wyprostowuję najczulsze płatki powojów, lub skazą rysuję klejnoty. Całą więc odpowiedzialność wydawcy-redaktora za to uczczenie piękna samorodnego przyjmuję na siebie całkowicie — i rad jestem niezmiernie, i dumnym się czuję, że los dał mnie pierwszemu sposobność ukazania ogółowi polskiemu skarbów tej duszy, tak wyjątkowo obdarzonej, i wprowadzenia poetki do przybytku sztuki uświęconej. Zadanie to spełniam radośnie i z całą odpowiedzialnością sumienia.

Zasadnicza waga poezji sprowadza się ostatecznie do postulatu: jak, nie zaś do postulatu: co, jakkolwiek w tym tu postuluacie jak streszczają się wszystkie siły mocowładne owego co podległego. Co, czyli treść życia, czyli uczucie, jest dorobkiem wszystkich ludzi; jak, czyli wyraz tej treści i wyraz uczucia, jest sprawą daru osobliwego, który ową treść życia mocen jest przetopić na promienie i blaski, podnieść ją i ukazać i w pięknie, i w mocy.

Stąd też pierwszym przedmiotem oceny poezji musi być jej wyraz, gdyż w nim się streszcza dusza, w nim się objawia jej piękno, jej głębia, jej gatunkowe wartości.

Poezya — zwłaszcza liryczna, — mój Boże! — od wieków żyje jedną i tą samą treścią: ukochaniem słońca, wolności, przestworu, — tęsknotą Bezwzględnego, tęsknotą Ideału. Tematy to, jak widzimy, stare, jak świat. I jedynie wyraz, ów dar osobliwy, ma władzę rzecz tę starą podźwignąć aż od dna uczucia i ukazać ją w świetle nowości, jak perłę drogocenną.

Zakres poezji Grodzickiej-Czechowskiej nie wybiega, oczywiście, poza te tematy powszechne. Kocha ona ten „kraj równin samotny, zapadły i niski, kędy wieś, jak mrowiska, brną w sady wiśniowe, — kędy człowiek i ziemia jedną pieśń zawodzi — tę samą, co mi lkała

wichrem u kolebki“ ... —, do tego kraju „odchodzi“ ciągle od niej dusza jej stęskniona, — kocha ona chłopca siermiężnego, którego twarz przeorana bruzdami tak, jak jego ziemia, i jedność z nią jakoby stanowi, — kocha płowowłose dzieci wiejskie, igrające w słońcu, i kwiaty, i wrzaski jaskółek, i wicher, i burzę, i step — wschody i zachody — i całą przyrodę aż do panteistycznego jakiegoś upojenia, w którym zawoła:

Dziś mnie natura objęła ramiony, —
Jestem, jak niebo, w bezkres rozciągniętych;
Jako pnie sosen, proste myśli moje, —
Błękitem jestem, i pieśnią, i światłem.

Lecz nad wszystko kocha słońce! Jest ono dla niej symbolem szczęścia i wolności. W poemacie swym p. t. „W klasztorze“ tęsknotę tę do słońca w bolesnych dziejach pasującej się zakonnicy odtworzy w przedziwnej gamie uczuć, w najsubtelniejszych wizjach, w najbardziej istotnych zagadnieniach celów i przeznaczeń człowieka — kobiety i matki.

Cóż więc jest w owej powszechności tematów i treści prawdziwą niepospolitością i prawdziwą nowością, wicznie żywą i uroczną, poezji Grodzickiej-Czechowskiej? Jest nią, jak rzekliśmy, wyraz tej poezji. Jest nią widzenie, jest jasno-widzenie, tak czułe i subtelne, tak

miłujące od głębi, takie skupione i takie tkliwe, takie wezbrane i takie poświęcone, takie wdzięczne i tak spromienione, iż każda rzecz, której tknie to oko duszy natchnionej i wyrazem utrwali, ukazuje się w świetle nowości i w promieniach najczystszej poezji.

Jest to prawdziwa Safo słowiańska, nawiedzona przez jakiegoś ducha wielkiego poezji, — rzecz można — ponad swą odpowiedzialność, ponad możność nawet, — służebnica jego wybrana.

Zaznaczyłem: słowiańska, gdyż w umiłowaniu przyrody, w umiłowaniu przestworu i słońca — w nadzmysłowem ujęciu życia i piękna — i w bezwzględności Ideалу iści się typ duszy rdzennie słowiańskiej, respective polskiej, — o ileż wyższy od typu duszy pogańskiej!

Safo pogańska, płonąć żądzą samolubną dla swego kochanka, zawiedziona w miłości, nurtom oddaje swe ciało i lutnię. Posłuchajcie, jak święci społecznie miłość do mężczyzny współczesna Safo polska:

Gdy będziesz ze mną: pójdziem w świat daleki,
Gdzie sny kształt biorą i początek — rzeki,
Gdzie leży ziarno bytu w bożej pieczy, —
I stamtąd wzięwszy światła pod powieki,
Iść będziemy, tworząc nasz Czyn poprzez wieki,
Związani duchem — w jeden byt człowieczy...

A gdy w wyborze dróg nastęrczy się wahanie, tak
je rozetnie odrazu światłem dobrej woli:

...Ileż tu dróg!... Ach, jedna tylko nas ocali!
Utwórzmy wzór człowieka z narodowej gliny
I na modłę tę ciało kujmy z spiżu, stali!
Potem trzeba nam stopy wbić w ziemskie dziedziny,
Serce własne oczyścić boleścią, rozszerzyć —
Ducha wstrząsnąć miłością, żyć — i w życie wierzyć!

Śmiało rzec mogę i nie pod pierwszym wrażeniem,
że zarówno pod względem formy, jak i ducha oświe-
conego, nie znam we współczesnej, a nawet i w ogól-
nej twórczości kobiecej, rzeczy o większym nastroju,
o głębszem i czystschem natchnieniu, o rzetelniejszym
namaszczeniu poezji, nad te, które ta książka za-
wiera.

I gdyby nawet poetka (czego przypuszczać nie na-
leży) nic już ponadto nie przyrzuciła do twórczości ro-
dzimej, mała ta książeczka, jak skarbczyk prawdziwy,
umieszczoną zostanie obok najcenniejszych dorobków
piękna, jakie czułe i natchnione serca kobiet wydały.

Oddając przeto w ręce ogółu polskiego i prawdzi-
wych miłośników poezji tę małą książeczkę i spełnia-
jąc tym sposobem najlepszy mój obowiązek, mam jedno
tylko uczucie i nie chcę mieć innego ponad to: że

zarówno ten ogół, jak i krytyka polska, powita ją z żywą radością i szczerze mi wdzięczną będzie za moją bezinteresowną miłość i uwagę dla prawdy i dla piękna.

Józef Jankowski.

W miesiącu maju 1913.

11. *Journal of the History of Biology*, 35 (2002), 3, 443-466. doi:10.1023/A:1019832310000

REVIEWS

12. *Journal of the History of Biology*, 35 (2002), 3, 467-488. doi:10.1023/A:1019832310000

13. *Journal of the History of Biology*, 35 (2002), 3, 489-510. doi:10.1023/A:1019832310000

14. *Journal of the History of Biology*, 35 (2002), 3, 511-532. doi:10.1023/A:1019832310000

15. *Journal of the History of Biology*, 35 (2002), 3, 533-554. doi:10.1023/A:1019832310000

16. *Journal of the History of Biology*, 35 (2002), 3, 555-576. doi:10.1023/A:1019832310000

17. *Journal of the History of Biology*, 35 (2002), 3, 577-598. doi:10.1023/A:1019832310000

18. *Journal of the History of Biology*, 35 (2002), 3, 599-620. doi:10.1023/A:1019832310000

19. *Journal of the History of Biology*, 35 (2002), 3, 621-642. doi:10.1023/A:1019832310000

20. *Journal of the History of Biology*, 35 (2002), 3, 643-664. doi:10.1023/A:1019832310000

DLACZEGO...

Dlaczego dusza tak zmienna i tak
[burzliwa, jak fala...
Czemu raz szczęście się zbliża, a potem
[wiecznie oddala...
Dlaczego na drodze życia, gdzie smutek
[łka i narzeka,
Zło z Dobrem — rzucają kości o serce
[biedne człowieka?

=

WICHER.

Dzieckiem byłam, gdy wicher porwał mnie nieznany
I niósł... i niesie dotąd przez wszystkie dni moje.
Porywa mnie ku słońcu, albo w ziemskie zdroje
Zanurza... albo piersią rzuca mnie na łany!...

Lecz nie jawi się nigdy kres oczekiwany!
Spocząć chcę... kiedyż wreszcie duszę uspokoję?
Lecę z wichrem, a w sercu dziwne niepokoje:
Śmiech ze łzą, ból istnienia z wiarą pomieszany!

Dokąd mnie poprowadzi ten wicher mej duszy?
Czy wówczas, gdy moc we mnie nędzna starość
skruszy,
Czyli teraz — gdy żyć chcę — ołtarz mi ukáže,

Na którym złożę myśli, jako wierne straże
I czyn mój ofiaruję... czyn, w którego łonie
Moje serce, tym wichrem rozżarzone, spłonie!



PRZECZUCIE.

Walczyłam lata całe. Dzisiaj wielka cisza
W mem sercu. Czasem nagły wicher się porywa,
Ale go chmura smutku ciężarem ucisza
I taka jestem senna... cicha... i nieżywa...

Rzuciałam w głębie życia sny, wzruszeniem drżące,
Jak po lasach drży paproć w naszyjniku rosy...
Dziś — umiałabym tylko, jak przeznaczeń gońce,
Patrzeć w toń... lub nad głębią stać, jak człek bezgłosy...

Przyjdzie kiedyś godzina, że się znów zawichrzę,
Rozplonę, jak jutrenka wśród pieśni łabędziej —
Ale przedtem stanie się serce jeszcze cichsze,
Jak przed burzą... a potem — żyć już wiecznie będzie.

NA POLANIE LEŚNEJ.

Szmerzą trawy ukryte w wilgotnej ustroni,
Wplecione w rdzawe kępy mchu, w rumiane wrzosi;
Pachnie łąn macierzanki, — czasem kropla rosy,
Tocząc się po lodydze, jak perła, zadzwoni.

Upał. Snują się baśnie: barw, szmerów i woni —
I płyną miękkim tchnieniem pod ścichłe niebiosy...
Ciężkie, błękitne ważki gną traw długie kłosa...
Wszystko tu pije słodki czar słonecznej dłoni.

A zdaleka, z za lasu — czasami dolata
Głos jakiś: wioski mojej niemilknąca wrzawa —
I we wrzosach się gubi i w szmery się wplata...

A zdaleka, czasami na wspomnień ścieżynie
Jakiś kształt dni ubiegłych w tęczach jasnych wstawa,
Jakiś kształt z dni przeszłości w tęczach złotych płynie...



W PARKU.

Woń macierzanki modrzewie otula,
Strzeliste świerki swym oddechem poi,
Rój skier słonecznych z niebieskich podwoi
Pada na jodły, jak rój pszczelny z ula.

Pośród jarzębin wiew sierpniowy hula,
Snać na szczyt buków powionąć się boi...
Gdzieś tam brzoza w srebrnych rosach stoi,
Błyska pod słońce jej biała koszula.

Co za melodia drzew, blasków i woni!
Jakaż tu radość bujnego żywota
We słońcu, w drzewach, w bujnym wietrze dzwoni.

Jak tu się kłębią moce i nadzieje!...
Nieledwie słyhać, jak promienna, złota
Przyroda cała ku słońcu się śmieje.



W SŁOŃCU.

Gdy stanę śród ogrodu — oczy moje pieści
Dywan traw: na nim kwiaty, malowane słońcem —
Mleczce z okiem rozwartem, jak gwiazdy, błyszczącym,
Rzędem zwarte, jak karły z dziecięcej powieści,

Co z hasłem boju, kładąc dłoń na rękojeści,
Wybiegły z łona ziemi w uzbrojeniu lśniącym
I, rozwarłszy źrenicę, porażoną słońcem,
Kłękły... wietrzyk we włosach ich złotych szeleści...

Gdybyż ludzkiemu życiu słonecznej pogody!
Szczęśliwy ten, co życiem rozkwitnąć tak może,
Jak w szczęściu bujnie kwitną słoneczne ogrody...

Szczęśliwy ten, co duchem łan życia przeorze:
Poza nim — z jego śladów — czyn rozkwita młody, —
On — twórca nieświadomy — odchodzi w pokorze.



ZACHÓD SŁOŃCA.

Już słońce na zachodzie szkarłatem się pali,
Złoto stapia z purpurą, blaskami zachwyca...
Pod powiekę obłoków płomienna źrenica
Kryje się zwolna... oto z błękitnej oddali

Nadpływają chmur wianki, a każda z opali
Ma liliowe czoło i z róż młode lica —
Chusty zmierzchów rozsuwa wieczorna tęsknica...
Ogród na przyjście mroku bierze barwę stali...

Liść nie drgnie... nakształt białych duchów stoją drzewa...
Idzie mrok, niosąc zapach rozkwitłych jabłoni,
I pomiędzy ulami w mokrych trawach brodzi —

Zaśpiewam... jakim żalem głos mój tu rozbrzmiewa...
Bo codzień o zachodzie, gdy się niebo sploni,
Czuję, że moja dusza za słońcem odchodzi!



ZMIERZCH.

Mrok pada: senną ziemię otula welonem
Błękitnym. W górze obłok ostatni się pali,
Jak nenufar złocisty na błękitnej fali;
A już wielki, spokojny, z czołem posrebrzonym

W powietrzu, co się mieni kolorów milionem,
Jakgdyby aniołowie pył gwiazd rozsypali —
Zawisł księżyc i wolno wypływa z oddali...
Ziemia jest wonnym, kwietnym, umajonym tronem!

Na jego aksamicie królowa-przyroda
Drzemie w błękitnych zmierzchów powiewnym welonie:
Choć królowa, lecz wieńcem traw ubrała skronie

I, na spoczynek idąc, niby chłopka młoda,
W różaniec ros perlistych pierwej się ubierze
I szepce kwiatowemi ustami pacierze.



W NOCY.

Śpi ziemia... cicho leżą łąki i zagony,
Śnią się dziwy prastare zadumanym wodom...
Zdrzemane wioski objął mrok nieprzenikniony —
Śpi ziemia, wznosząc we śnie pierś wieczyście młoda.

Ponad nią krąg miesiąca płynie zamyślony,
Pokrewny jej spokojem, ciszą i pogodą —
I odziewa ją senną w srebrzyste welony...
W górze gwiazdy rozmowę z aniołami wiodą...

Jakieś ciche i święte poczyna się granie
Kędyś w górze — i płynie na łąki i wody,
Na wioski... jak anielski śpiew na zmartwychwstanie.

Blask miesięczny się splata w srebrne dla stóp wschody —
I na ziemię uśpioną schodzi Chrystus biały
I — nocą — błogostawiając, błędzi zmartwychwstały.



JEZIORO.

Ponad zdrzemanem w słońcu stanęłam jeziorem :
Fala toczy się senna, leniwa, zielona —
Ślizki liść nenufaru obejmie w ramiona —
Wzdrygnie się... Milczą wody, okolone borem.

Raz w raz muszla zabłyśnie tęczowym kolorem,
Lub lilii wodnej słońkiem złożona korona —
I, gasnąc, pośród chłodnej fali cicho skona...
To—przesunie cień czajek, lecących przestworem...

Pachną wody. Z ich łona powoli, powoli
Hymn się dźwiga... jezioro śpiewać rozpoczyna...
Śpiewa o dziwnej, dawno zapomnianej doli;

O dniu, kiedy raz pierwszy na te żółte piaski
Legło piersią — gdy bila wieczności godzina,
A w słońcu się rodziły cuda z Bożej łaski.



SPOCZYNEK.

Pieszczą mnie leśne żywiczne powiewy,
Wrzos mnie całuje i jaskier złożony —
Na piersiach moich łątek lotne błony,
U nóg — jałowców przytulone krzewy.

Nad głową w górze sosnowe kolumny,
A wyżej blade błękitów zasłony...
Dziś mnie natura objęła ramiony,
A świat pozostał za mną! Jakież dumny

Głos mego serca!... Jakąż mocą płonę!...
Jestem, jak niebo w bezkres rozciągnięte,
Jako pnie sosen, proste myśli moje — —

Błękitem jestem i światłem, i pieśnią —
Żadne mi sprawy dziś ludzkie się nie śnią
I prosto w Boże spoglądam podwoje!...



PRZED BURZĄ.

Na widnokręgu chmura, jak ołowiu bryła,
Ciemna, o bladym wnętrzu, malowanym rdzawo,
Niby wulkan posepny z wrzącą na dnie lawą,
Często węża błyskawic ku krańcom posyła...

W dole ziemia omgłona, cicha, jakby śniła...
Jak przedzą, powleczona zadumą złotawą...
Zrzadka jeno wśród pola wybucha kurzawą...
Aż cięży głąb powietrzna, ziół tchnieniem opila.

Burza... Już lecą z dali najmłodsze jej gońce,
Straż przednia, lekkoskrzydła — wietrzyki pachnące!
Grom pierwszy, oddalony — śpiące zbudził echa!...

I dzwignęła się chmura, jak okręt w przestrzeni.
Cisza. Ogień błyskawic myśl moję rumieni,
A dusza ku idącej burzy się uśmiecha!



W JESIENI.

Pod niebem, skutem w chmur stalową zbroję,
Rżysko szarzeje bez trawy, bez kłosa...
A po nim cisza przechodzi bezgłosa,
Lub wiatr jesienny stroi skrzypce swoje.

Wieńcem — gołębie, jak białe powoje,
Śród pól rozkwitną... wzleczą pod niebiosa...
Jako łzy — srebrem błyska zimna rosa,
I dymy ognisk długie płaczą zwoje...

Tak było dawno... wczoraj... przed wiekami...
Ten łąn, to niebo, wiatr i rosy chłodne...
Ognie wokoło tak sypały skrami

I ziarn szukały w polu ptaki głodne...
Chmury się kładły na ziemi krawędzie...
Tak wszystko przetrwa — choć mnie już nie będzie.



ZMROK JESIENNY.

Tak pusto ... wicher wymiół kwiaty,
Uciekły ptaki, łan zgasł złoty — —
Czernieją zwilgłe krzyże, płoty,
I smutek w mgłę otulił chaty.

Przyszły na ziemię szare słyty,
Roniące łzy na dymne chaty — —
Skrzypią okienic czarne płyty
I w mętnych szybkach lśni blask złoty.

Błogosławiony, co posiada
Chatę, gdzie się przed pustką schroni
I gdzie mu świerszcz nocami gada.

Błogosławiony, co, w przestworze
Patrząc, przed mrokiem wzrok przysłoni
I gwiazdkę swą rozpalić może — —



W ODDALENIU.

Widzę, widzę, gdy przymknę rozplakane oczy,
Widzę łąn ornej ziemi pod niebem pochmurnem,
Słyszę wiatr, co przygrywa posępnym nokturnem
Lasom ciemnym i wały chmur nad nimi toczy.

Widzę długi sznur kawek, gdy skrzydła roztoczy,
Wzleci i wnet opadnie na wilgotne skiby;
Potem znów kręgiem wzgórze zawiśnie, jakgdyby
Wieniec na czole mroku, co przez łąny kroczy.

Widzę kraj równin smutny, zapadły i niski,
Kędy wsie, jak mrowiska, brną w sady wiśniowe,
Kędy ziemia i człowiek jedną pieśń zawodzi —

Tę samą, co mi wichrem lkała u kołyski...
Ku tym pustkom, ku ptakom, w te lasy sosnowe,
W ten kraj... dusza stęskniona odemnie odchodzi.



WOZY W STEPIE.

Wyschłe burzanów pole; a dalej step szary,
Zapatrzony we słońce spłowiła żrenicą.
Czasem pył wstanie słupem... wichry go pochwyca
I zwałą, uderzywszy potężnymi bary.

Bezmiar przecięty blizną... To wozów ciężary
Rznęły ten szlak stepowy... Zgiełkliwą konnicą
Stratowały go wieki, a słoneczne lico
Tchnieniem własnym utrwala ów gościniec stary...

Ach, tam na widnokręgu — wozów karawana, —
Słyszę: wloką się stepem, zgrzytają łańcuchy,
Sunie wozów kolumna, jękiem chłopskim gnana —

Widzę osie bezkształtne, słyszę kół westchnienia...
Patrząc, myślę z boleścią, że tak w bezkres głuchy,
W przyszłość — widzę idące — ludzkie pokolenia.



WSCHÓD KSIĘŻYCA.

Bezmierny step, jak tarcza, ku niebu zwrócona,
Tarcza koloru stali, od pyłu matowa.
Nad stepem tarcza z miedzi — płomienista głowa:
Twarz księżycą w twarz stepu cicho zapatrzona.

Otwierają przed sobą zagadkowe łona,
Gdzie drzemią wieki zmarłe ... szemrzą senne słowa,
W których żyje przycichła, dawna pieśń bojowa
I czyn zgasły, co wieki śród bezwładu kona.

I po strunach srebrzystych z dalekiej wyżyny
Płynie modlitwa smutku na puste równiny —
Czar, co ziemię całunkiem pieści i zachwyca.

Słucha ziemia — i sen swój śni twórczy, jedyny,
Patrząc w smutek zaciszny miesięcznego lica,
Gdzie bezdenna, łez pełna — legła tajemnica.



O ZMROKU W STEPIE.

Wlece się dym kopalni przez step zamyślony,
Otulając go długą, wełnistą opończą...
Kędyś w bezkres wybiegły szerokie zagony
I chyba nigdzie biegu w przestworach nie kończą!...

Step już drzemie. Poblądły uciszone trawy;
Wicher, lotem strudzony, legł w głębokim jarze.
Step i niebo otulił półmrok błękitnawy
I błony skrzydeł swoich rozpina w bezmiarze...

Odetchnienia półsenne, senne tajne gwary
Milkną... wlece się zwolna dym błękitno-szary...
Sen zstąpił na rozłogi i odprawia czary...

Na tym stepie zdrzemanym, na bezkresnym łanie,
Zamyślane o ziemi śni niepokalanie:
W świat idące, odwieczne, jak Bóg — miłowanie.



NOC W STEPIE.

Noc idzie stepem. Ponuro i czarno:
W burzanach wichur czasem zaszeleści...
Czasem dźwięk jakiś padnie w głąsę parną
I, zabłąkany, przepadnie bez wieści...
Czasem duch błędny z nieznaney mogiły
Wstanie i serca te, co w stepie były,
Budzi, zwołując na ucztę boleści.

Idą w dal czarną pogwary echowe:
Czasem głos jakiś westchnie lub zaszlocha...
A potem wichur te cienie widmowe
Strwoży i skłębi... wicher, co przestwór kocha
I step przebiega od krańca do krańca,
Szumiąc skrzydłami... Do dzikiego tańca
Stają: Noc z Wichrem — dwie moce stepowe.

A ponad wszystkim ta straszna potęga,
Co szalom stepów udziela pomocy!
Ponad głosami — ten głos, co gwiazd sięga!

Ponad mocami — to szaleństwo Mocy!
O, wszechpotężny! Cóż Cię zjednać może?
O, bezlitosny, o, milcząco Boże,
O, Boże wichrów, rozpacz i nocy!...

SAMOTNOŚĆ.

Otoczyły mnie nagie niezmierzone włości:
Za mną, u nóg, przedemną — pustynia stepowa.
I przyszła tutaj do mnie tych pustyń królowa —
Tęsknota — i poczęła bluźnić mej młodości —

I wówczas drgnęłam sercem... Jak duchowie prości,
Jęłam sercem przenikać tajemnicze słowa...
Zmógł mnie płacz. Kędyś w dali gra lutnia życiowa...
Gdzież jest duma? Gdzie spokój mojej samotności?

Oto — drżąca — jak dziecko stoję rozplakane,
I słucham dalekiego grzmotu wielkiej fali,
Słyszę, jak fala zdarzeń bije w ziemi ścianę...

Aż do stóp mi upada jęk, płynący z dali...
Czuję, serce się zrywa i, w jęk zasłuchane,
Biegnie przez pustkę stepu, błąka się i żali...



W WIGILIĘ BOŻEGO NARODZENIA W NOCY.

Jasna stepowa noc nad ziemią stoi,
Cicha, jak matka nad kolebką syna,
Warta gwiazd czuwa u bożych podwoi,
A w dole, w stepie uśpiona mgła sina...
Zasnąć nie mogę — ta cisza tak słodka,
Jak prządka, snuje z wspomnień kołowrotka.

Powstają mary z łąk wczesnej młodości
I dawne kwiaty splatają u skroni — —
Marzy nademną anioł samotności — —
Gołąb tęsknoty wzrok mi skrzydłem słoni — —
I dni dzisiejsze z dawnymi spór wiodą
O moją duszę, o myśl moją młodą — —

Na ustach słowa dawnego pacierza,
Którego treści przypomnieć nie mogę...
Przed wzrokiem wkrąg się horyzont rozszerza
I ukazuje zapomnianą drogę...
I drogie twarze, które śmierć przysłania,
Chylą się, słysząc mój płacz pożegnania...



SEN.

Może ja byłam niegdyś tęsknicą wichrową,
Co budzi piaski pustyń, porusza cmentarze;
Może byłam tym ogniem, co krwawił ołtarze;
Błyskawicą, w noc parną drżącą przed Jehową.

Może w łunach zachodu błyszczałam tęczowo —
Jedna z fal — w oceanów ruchliwym obszarze;
Albo łanem, dojrzałym w południowym skwarze,
Śniłam, gdy wiatr mi czesał kłosów grzywę płową.

Może ja byłam niegdyś, w słodką noc majową,
Upojną, haszyszową narcyzów pieścizną...
Może gwiazdą, co zgasła nad kochaną głową —

Może — stepu mistyczną dławiającą tęsknotą —
Może gajem paproci, co w łzawym rozgwarze
Padł — gaj senny, wycięty w pień przez dłonie wraże...



GODZINA.

Jest dnia godzina o słońca zachodzie:
Godzina ciszy, snów i zamyślenia,
Kiedy — (w anielskim więzione ogrodzie,
Kędy je wieczność skrzydłami ocienia) —
Umarłych dusze zstępują na ziemię.

Idzie przez łąki, przez wioskowe drogi,
Przez gąszcze leśne, poprzez mroczne pola,
Ów hufiec boży, w cielesność ubogi —
Przez miejsca, w których dawna śni się dola
I pamięć czynów dokonanych drzemie...

Powstają ku nim umarłe powiewy...
Zmarłe stokrocie jawią senne oczy...
Wznoszą się dawne jakieś bory, krzewy...
Jakiś szmer wzrusza tajemnicze wody...
Jakieś obrazy powstają w roztocy,
Gdy wśród pól ciche płyną korowody...

=

SEN.

Może ja kiedyś będę wśród nocnego mroku
Cichem srebrem miesięcznym albo gwiezdnyim pyłem..
Różowym świtem kwitnąć na zbożu pochyłem
Będę... lub sypiąc blaski — płynąć na obłoku...

Może włożę dyadem z brylantów potoku
I górską wodą szumieć będę... Może miłem
Bogu — czarnem jaskółczem: zlepię rzecznyim iłem
Gniazdko i — zamknę bezmiar we ptaszęcem oku.

Jeżeli Bóg pozwoli, może wichrem będę...
Nie tym wichrem, co wzrusza ogrodową grzędę.
Lecz tym, co — jak liść niesie losy i wywraca...

Co, porwawszy za sobą narody i wieki,
Zmienia przyszłość narodów, cel zbliża daleki —
Gdy Bóg da — może taką będzie moja praca.

□

MODLITWA.

Samotna jestem: noc taka upiorna,
Takim bolesnym wichrem rozplakana...
U bram wieczności uklęklam pokorna. —
Cichemi kroki od zmierzchu do rana
Stąpają przy mnie milczące godziny,
Jakgdyby drużek moich krąg — jedyny — —

Ah, ja nie umiem łuskać ziarna ciszy...
Motyle szczęścia pierzchają przedemną...
I ucho zwrotek weselnych nie słyszy...
I przed oczyma ponuro i ciemno...
Tak mnie samotność mgłą smutku osłania,
Jakby jeziora gór w porę świtania...

Samotna jestem — niech się myśli niosą,
Jak mgły poranne, w niebieskie sklepienia...
Niechaj podcięte samotności kosą
Drzewo mej duszy — tron boży ocienia...
Niech się splatają różańce mych godzin —
W jutrznię — straż wierną słonecznych narodzin.

Samotna jestem: niech łzy moje płyną,
Jak chłodne rosy, przez ogrody boże...
Niechaj tęsknoty moje — w niebie giną...
Niechaj się duchem stęsknionym położę
U kolan bożych, jak te drogi mleczne,
Śród niebios Bogu błyszczące i wieczne.

Samotna jestem: oto piersi moje,
Próżno łaknące łaski spokojności — —
Oto me dłonie, miłujące boje — —
Serce, które się wciąż burzy i złości — —
Oto przed Tobą samotna się korzę — —
W tę noc upiorną, nienazwany Boże!



TĘSKNOTA.

I.

Szliśmy ku sobie poprzez długie wieki,
Płacząc za sobą o każdej godzinie
I nie wiedzieliśmy, skąd światło płynie —
Aż Bóg nam otworzył półmartwe powieki...

Otośmy teraz, jak burzliwe rzeki,
Zwarte we wspólne potężne łożysko...
I jako zorze, gdy wschód słońca blisko...
Jak gwiazdy, kiedy świt jeszcze daleki...

Czuję, żem płomień. Chcę płonąca duszę
Z Tobą zjednoczyć. Wszystko, co nas dzieli,
Pragnieniem własnem ujarzmię i skruszę.

Długo nas wiodła dręcząca tęsknota:
Zapomnieć trzeba, ileśmy cierpieli,
Wchodząc dziś w szczęściem umajone wrota.

II.

Pamiętasz: step dokoła, wielkie gwiazdy w górze,
Niebo ciemne i tarcza księżycy srebrzona...
Wązka droga wśród stepu zda się nieskończona...
W pobliżu jar, zarosły gęstwą drzew... Gdy zmrużę

Powieki, słyszę jeszcze wzlatujące w chórze
Słowików głosy z jaru głębokiego łona — —
I melodia ta, długo w pamięci pieszczona,
Czaruje, pieści... więzi mię w szaleństwa chmurze.

Twoja dusza jest stepem: po jego bezmiarze
Moja dusza się błąka... o, gdybyż jej dano
Być, jako chór słowiczy we stepowym jarze,

W niebie Twem gwiazdą... niebem w Twojej duszy
obszarze,
Barwą w stepie... i stepu drożyną świetlaną...
W splocie tym niech nam dusza w duszy się ukaże.

III.

Tęsknię ku Tobie. — Wszędy wonne ziolo
Spogląda w słońce... wszędy kwitną drzewa...
Brzęczy rój pszczelny... chór ptaszęcy śpiewa...
Mnie smutno, jakby nie było nic wkoło.

Boś Ty mnie zaklął w to uroczne koło,
W którym dziś dusza i serce dojrzewa;
Hymnem wieczystym ku Tobie rozbrzmiewa,
Kwiatem tęsknoty wieńczy Twoje czoło!

Przed duszą Twoją dziś mi poślubioną,
Jako przed śnieżną upadam Madonną...
Chylę ku Tobie roz tęsknione łono...

I myśli moje, co błękitnie płoną,
Jak cenną myrrę ożywczą i wonną,
Kładę na Twoją głowę zamysłoną...

IV.

Czemuż ty nie powracasz? Tak boli rozłąka...
Jak ołów, na pierś moją padają rozpacz.
Nękana samotnością, dusza moja płacze
I drogami zamyśleń, jak widmo, się błąka.

Wiem, że tam step wkrag objął Twe serce junacze,
Ze stepowa zaduma w Twą myśl młodą wsiąka,
A nad głową, gdy przedrze się dymów korona,
Drugi krąg szary — niebo — sny więzi tułacze.

Policzyłam łyzy Twoje, każdy krok Twój święcę...
O, jak często, w tę pustkę — z wichrów obląkaniem
Moja dusza ku Tobie z głośnym płaczem spływa.

I Twą głowę zmęczoną obejmując w męce,
Zcicha miłosnem darzy ją pocałowaniem,
A potem w swą samotność powraca nieżywa.

V.

Niema Cię przy mnie rankiem, gdy kwitną niebiosa
Różami świtu, jaskrem, chmurkami stokroci...
Wieczorem niema Ciebie, gdy się w górze złości
Szkaplerz na piersiach nocy... gdy na ziemi rosa,

Jak paciorki różańców, zawisa u kłosa...
Niema Ciebie w południe... w nocy wśród gwiazd kroci...
Daremniej Ciebie szukać, niż kwiatu paproci...
Próżno Twe przyjdzie wróży wiosna złotowłosa.

Na przyjdzie Twoje plotę z marzeń kwietne wieńce,
W pierś biorę oddech wiosny i słońce w źrenice...
Myśli maluję światłem, kradzionem jutrzence...²

Wichrów proszę, by włos mój czesaly... Na lice
Kładę kwiatów kielichy i puchy ptaszęce...
Drząc... czy szmeru Twych kroków uchem nie pochwycę.

VI.

Bez Ciebie tak mi źle, że nie wiem jeszcze,
Jak ja przeżyję te dni i godziny!...
Przed moim oknem we mgle przestwórz siny,
Łkający wichrem... To jesień złowieszcze

Moce przemienia w wichury i deszcze:
Słota szlochaniem napęlnia równiny,
A w ślad jej ciągną smutki, żale, winy —
Lęk śmierci w polnych krzewinach szeleszcze...

Straszno mi... pusto... nagle niepokoje
Chwytają serce... Tak smutno... Weź w dłonie
Znużoną głowę moją, co snem płonie,

I utęsknioną złóż na piersi swoje...
Zasłoń mnie sobą przed złem i przyrodą —
Czystą, wiosnianą Twoją duszą młodą.

VII.

Rozdzielają nas łąk wielkie obszary,
Szmaty pól, owsem najeżonych, żytem...
Lasy, gdzie sosny zbratane z błękitem...
Rzeki, gdzie dyszą wilgotne opary...

Step między nami i stepowe jary,
Miasta z kościelnych wież złożonym szczytem...
Szereg dni z słońcem, w promienie rozbitem,
I szereg nocy...

Mogę pójść w pył szary,

Co na gościńcach suszy zwiędłe zioła —
W zbożowe łąny — w las, — wpław przebyć rzeki,
Przebrnąć step, kędy wichur piaski wzdyma:

Wichrowi, ziemi, wodom — stawić czoła
I zatęskniona w Twój domek daleki
Wbiegnąć... lecz wzrok Twój w progu mnie zatrzyma.

VIII.

Twoje myśli są, jak lilii kwiecie,
Jak szkarłatnych róż wonne pąkowie,
Jak narcyzów biel, jedyna w świecie,
Której piękność Bóg tylko wypowie...

Jak wiśniowe w ogrodach zamiecie,
Jak łąk miękkie pachnące wezgłowie,
Kędy rankiem świt purpurę miecie,
A nocą idą śnić aniołowie...

Twoje myśli ja tulę i pieszczę
I raduję się niemi i poję,
Piję moc ich i piękność, i zdrowie...

Przyjdą, przyjdą wichury i deszcze...
Wówczas chwilę zadrży serce Twoje,
Lecz na głos mój tem kwieciem odpowie...

IX.

Los mój — marzenie... lecz nie chcę marzenia...
O, bądź Ty ze mną! Ja Cię duszą własną
Otulę wokół, jak płaszczem z płomienia,
I światło będziesz miał, choć słońca zgasną!...

Niechaj się dusza Twoja opromienia
Duszy mej światłem; smutki Twe niech zasną
Na sercu mojem; niechaj się przemienia
Myśl każda moja — Tobie w gwiazdę jasną.

Gdy będziesz ze mną: pójdziem w świat daleki,
Gdzie sny kształt biorą i początek — rzeki,
Gdzie leży ziarno bytu w bożej pieczy —

I, stamtąd wzięwszy światła pod powieki,
Iść będziem, tworząc nasz Czyn poprzez wieki,
Związani Duchem — w jeden byt człowieczy.

X.

Oddałam Tobie duszę i treść mego życia,
Pragnęłabym w Twojej piersi na wieki utonąć
I w ogniu Twego serca w imię Twoje spłonąć,
Bo przeznaczoną Tobie byłam od powicia.

I jeśliś swojej myśli strzegła od rozbicia
I nie dałam się złemu losowi pochłonać,
To dlatego, że czar Twój miał ku mnie powionąć —
Przyszłe szczęście nademną czuwało z ukrycia.

Przed duchem Twoim głowę chylę w uwielbieniu,
Szukam u piersi Twojej ciszy i obrony:
Jedynym bogiem stań się memu przeznaczeniu!

Mem każdym odetchnieniem bądź błogosławiony!
Bo w tym bezmiarze ziemi, wody i błękitu
Jedyną jesteś wieczną racją mego bytu.

XI.

Mówiłeś o narodzie... mówiłeś o czynie...
A przedemną otwarły się wrzeczadze rdzawe
I wieki szły przedemną: wicher obalił sławę...
Wzbił falę klęsk i łzami nurt wezbrany płynie. —

Oto suną sztandary podarte i krwawe
I orzeł, co białością piór wśród ptaków słynie!...
Oto lud... jakeż cisza w ludowej gontynie...
Jakież wicher złowrogi stłumił ludu wrzawę?!...

Ileż tu dróg... ah, jedna tylko nas ocali:
Utwórzmy wzór człowieka z narodowej gliny
I na modłę tę ciało kujmy z śpiżu, stali!...

Potem trzeba nam stopy wbić w ziemskie dziedziny,
Serce własne oczyścić boleścią, rozszerzyć —
Ducha wtrząsnąć miłością, żyć — i w życie wierzyć!



ORKA.

Gleba szara, bezpłodna pod nieba szarością,
Jak głaz twarda, wyschnięta, pełna martwej ciszy:
Każda grudka i skiba każda smutkiem dyszy
I straszy okolicę posępną bladością.

Chłop z pługiem. Koń znużony pracą i starością.
Orka ciężka. Pierzchają z pod brył trwożne myszy...
Chłop i koń jęczą... zgrzyta pług... nikt ich nie słyszy...
Nikt i nic... wszystko wiąże się tu z Koniecznością.

Kto rozróżni, gdzie pole, gdzie chłopska sukmana,
Gdzie tu siwy grzbiet koński, gdzie kres widnokręga!
Ziemi twarz i twarz chłopca w bruzdy przeorana...

Obu im wspólna jedna zszarzana siermięga...
Żrenica niebios, chłopca i ziemi — z mgieł tkana,
Piers — tajemnicą, której wiedza nie dosięga.



POGRZEB.

Ucichły połnych świerszczów piosenki i głosy
Tam, gdzie srebrzystym węzem wije się ścieżyna;
Rudy szczaw tam ku ziemi łodygi nagina
I łany pochylły się, spragnione rosy.

W rannym skwarze zbiełały błękitne niebiosy
I zapadła w martwość powietrzna dziedzina.
Biały żar ziemię osnuł, niby pajęczyna —
Brzegiem ścieżki w zadumie stoją sztywne kłosa.

Na czyjeż tutaj przyjdzie ta świątynna cisza?
Któż tu idzie milczący, strojny w kwiatów krocie?
Kto zapragnął w tych pustkach wonnego zacisza?...

Pogrzeb wążką ścieżyną idzie w słońca złocie,
A w trumnie cicha głowa kmięcia-gospodarza
Ostatniem pożegnaniem łany swe obdarza.



ŚMIERĆ.

... Jeszcze wczoraj stroiła w maki włosy płowe
I splatała u źródła jedwabie warkoczy —
Dzisiaj — biała — zamknięte ma chabrowe oczy,
Co już nigdy nie spojrzą na łąn ... na dąbrowę...

Kto pochyli dziś w pracy nad krosnami głowę,
Czyja ręka biel płócien po smugach roztoczy?
Kto z matulą się w pracy domowej zjednoczy
I pogoni na gór krowiny ojcowe?!...

Śród izby porzucone wstążki i korale, —
Chusty i poświęcane obrazki na ścianie...
A przed chatą ślad bosy, ostatni na piasku...

Biegną ze środka izby lamenty i żale:
Dziewczyna leży biała na białym tapczanie,
A w oknach — słońca pełno i jaskółek wrzasku.



O MIEDZĘ.

Nie skrzywdził nigdy. On — chłop z chłopów, kmieć
sędziwy —

Nie miał na swojej duszy nawet żyta ziarna
Z sąsiedzkiego zagona!... Dlatego nie marna
Była praca i Pan Bóg zbiór dawał szczęśliwy...

Ale przy gruncie sąsiad zły był, nieżyczliwy,
O miedzę się prawował!... Dziś noc przyszła parna...
„Zły“ kusił... Z pod topora chlusnęła krew czarna...
Trup na miedzy: chce jeszcze miedzę brać — nieżywy!

Stał kmieć i patrzył... W dali pies gdzieś zawył smutno,
Coś ruszyło się w trawie... jakiś wiaterek wieje:
W ciemności lice chłopca zbieleło, jak płótno —

Teraz dopiero w duszy jego czarne knieje
Dreszcz padł... skorupę duszy mocą rwał okrutną
I, jak lody na wiosnę, druzgotał nadzieję.



ZAMYŚLENIE.

Od kolebki, przez wszystkie lata moje młode,
Szłam przez ugory życia ze śmiechem i pieśnią:
Więc sądzą, że mi nigdy otchłanie się nie śnia,
Żem, jak ptak zapatrzony w słońce i swobodę!

I zazdroszczą, że z krynic chłodną piję wodę,
Że śpię na piersiach kwiatów, że mnie wicher pieści...
Że — nocą — aniołowych słucham opowieści,
A we dnie — śledzę chmurek srebrnoruną trzodę.

A przecież jak to straszno bywa żegnać płaczem
Życie zgasłe — poznawać mękę wyrzeczenia
I smutek dni umarłych przenikać do rdzenia...

I żyć na trumnach Ojców... tęsknić Bóg wie za czem...
A we dni najsmutniejsze, gdy płoną i gasną
Iskry Zła — stać niezłomnie, walczyć z duszą własną!



TĘSKNOTO MOJA BEZ NAZWY...

Tęsknoto moja bez nazwy... Spowinęłaś duszę
W błękitną chustę, pod którą omdleвам,
Jak pod czeremchy oddechem,
Kiedy w ogrodzie o zmierzchu w śnieżne pióropusze
Zdobi mi włosy... Zabłąkanem echem
Szeptu więdnących róż mnie pieścisz — i tak śpiewam
Zcicha, łzawo — jak wiosną fujarki pastusze...

Błękitna Twoja zasłona obezwładnia duszę
Miękkim zawojem... Nie pomnę, gdzie jestem...
Ciężą mi senne powieki...
Dziś — raz pierwszy w przeczuwane wsłuchuję się głusze
Twojego kraju... śni mi się daleki
Łan, gdzie ci się w pas trawy kłaniają z szelestem —
Słyszę je... nagle milkną, gdy usta poruszę...

Tęsknoto moja bez nazwy... tve pieściwe dłonie,
Jak tchnienie kwietne, musnęły mi czoło...
Pieść! tak mi coś w piersi dzwoni — —

Tak mi z warg twoich na serce słodkie płyną wonie —
Pieść! tak mi smutno!... o, niech mnie osłoni,
Niechaj duszę błękitna tkań osnuje wkoło,
Niech mi oddech czeremchy na lica powionie.

Tęsknoto... Ah, weź mi głowę zamyśloną w dłonie,
Bo cięży, niby kłos, opily rosą — —
Tęsknoto rozbłękitniona — —
Westchnienia róż półomdlałych sennem uchem gonię...
Traw poszept w dali szemrze... potem kona...
Twoje loty mnie w dale mętne mgłami niosą...
Zapomnieć mi o życiu daj na swoim łonie!



CZEMU WICHREM NIE JESTEM...

Czemu wichrem nie jestem lub czerwonym gromem,
Co zarówno po niebie i po ziemi bieży — —
Albo wodą, szemrzącą wśród sennych wybrzeży —
Albo perłą uspioną w morzu nieruchomem —

Czemu-m nie urodzona szarym skalnym złomem,
Albo chmur nawałnicą, co ponad nim leży —
Albo ptakiem, co wyżej dumne loty szerzy!
Gwiazdą, co ma ojczyznę świat, niebios —
domem —

Możeby mnie już wtedy ów smutek nieznany
Opuścił... owy tęskny głos, grający w duszy...
Co jest, jako dzieciątko, wychodzące z głuszy —

Jako dźwięk, z oddalonych światów zabłąkany:
Że spotykam tu łzami wszystkie ziemskie rzeczy
I z bezmierną tęsknotą — niosę byt człowieczy.

□

SMUTEK.

Minęły dni dzieciństwa, jak wiosenne kwiaty,
Wonne marzeniem, świeże i czyste bez miary —
I nadszedł dzień mój letni, bezpromienny, szary
Choć ja dziś pragnę słońca, jak niegdyś przed laty.

Dziś ni słońca, ni zdroju, ni światła, ni rosy:
Szare życie mnie dławi — pod niebem ze stali;
Głód mi duszę zabija, pragnienie ją pali...
Wieczną pustkę mi niosą niezbadane losy.

Dziś ni wody, ni chleba dla serca i duszy,
Tylko ten płacz milczący serce moje targa...
I w długie noce moje ta wichrowa skarga
Szlocha wciąż, póki serca do łez nie poruszy.

Gdybyż dzieckiem powrócić w lasy i pastwiska,
Gdzie wieczorem bez końca snują się mgły chłodne,
I wśród wierzbowych gąszczy kwilą ptaki głodne,
Ze swych gniazd zapatrzone w pastuszków ogniska...

Jak dawniej, upaść twarzą w zaroszone wrzosa,
Odetchnąć ostrą wonią sosen i paproci...
Rankiem patrzeć, jak młody gaj się w słońcu złoci,
Jak śnią łąki, a zagon dźwiga pełne kłosa...

Pierś odsłonić, niech wichur oczyści ją!... głowę
Pochylić — niech ją rosa obmyje rzeszysta...
Podnieść oczy: niech spojrzy w nie jutruzenka czysta,
Zrzucić odzież znoszoną, suknie przywdziać nowe.

Zapomnieć, że niedole zakuły w obręczę
Łono ziemi... zapomnieć, że jest płacz... że ludy
Na zatracenie idą... że są klęski, trudy...
Że świat w nędzy... Zapomnieć, że dziś w pustce
jęczę!...

Zapomnieć, że jest życie! I tak się odgrodzić
Od przeszłości, tak przyszłość odepchnąć od siebie,
By się ten jeden szczęśny dzień rozpałił w niebie
I by w tym dniu nanowo mózgi się znów odrodzić!



DZIEŃ I NOC.

We dnie mam ponad głową żagiew słońca,
We złocie wszystko tonąć mi się zdaje...
A nocą w srebrze toną wsie i gaje:
Blask je osrebrza chłodnego miesiąca...

Czasami dusza, pragnieniem płonąca,
Nad wartkie idzie, gorące ruczaje...
Czasem nad tęsknot oceanem staje:
Rosę łez w czyste, chłodne wody strąca.

Czasami wielkie marzą mi się boje,
Złoto i szkarłat — wicher namiętności...
We śnie śród kwiecica odurzona stoję.

Czasami gasną płomienne świtania:
Na martwych pustkach gołąb smutku gości —
I słońce skrzydłem żalobnem przysłania.



DZISIAJ.

Dawniej marzyły mi się lazury i tęcze,
Po których dusza miała piąć się w górę...
Srebrzyste kwiaty... ptaki złotopióre
Nad głową — i promienne przy skroniach obręcze!

Dziś — wesprę kolumnadą błękity i tęcze —
Most czynu rzucę po kolumnach w górę —
Pracą, jak wichrem, spędzę zwątpień chmurę —
W dół zejdem, bo tęsknotą ku ziemi się dręcę!

Dziś — bliższe stały mi się czarne pola,
Darte pługiem, i grusze nad niemi zdrzemane,
Rzędy chat i gwarząca nad niemi topola...

Dziś, na równiny patrząc zadumane,
Trwam w modlitwie, bo trwoży mnie żaloszna dola,
Że, zgubięna marzeniem — ziemi nie dostanę!

□

W NOCY.

Cicho wśród nocy: mroczna kolumnada
Drzew biegnie w przestwór, a w górze sklepienie
Z chmur niskich na te kolumny opada...
Dołem — bezmierne snuje się znużenie —

Sen objął ziemię... Cisza się układa
W kolebce nocy, spowita w marzenie:
U jej wezłowania chmur szarych gromada —
Pni drzewnych u stóp nieruchome cienie...

Sama dziś jestem w tym ciszy kościele.
Akordem dzikim wołam w hymnie Ciszy!
Myśl moja skrzydła, jako wichry, ściele,

Niby złowróźbny ptak w bezmiarze dyszy,
Śród ogólnego snu, jak burza, wzlata,
Bijąc skrzydłami na rubieżach świata!

□

NOC.

Jęczy śnieg wichrem i deszczami szłocha,
W okna roztwarte bije zawierucha.
Ta noc wydaje mi się wzlotem ducha —
Ta noc — jak tytan, co się w burzy kocha!

Ta noc, tak straszna w szaleństwie bez miary,
Gasząca gwiazdy i na skargi głucha...
Ta noc rozkazów bożych dzisiaj słucha —
Organem wichru gra wyznanie wiary!

Rzucam w ciemności wzrok mój oszalały,
Odslaniam piersi — niech wichur uderzy!
Spojrzę w przyrody księgę — w święte mszały,

I moje serce zadrży i — uwierzy!...
Otworzę duszy tajemne wrzeciądze —
Klnąc, serce własne tej nocy osądzę!



DUSZA.

W godzinach łaski jaśniej mi dusza
Od wiecznych światła, co w piersiach ukryte —
Jak zorze świtu, w jeziorach odbite,
Skrzą się, gdy oddech boży je porusza.

Jasných gwiazd rojem rozżłaca się głusza...
Sny, jak łańcuchy, z ogniów gwiazdnych lite...
W sercu anielskie legendy wryte...
Jak ogród kwietny rozświetlona dusza...

I ukazuje słoneczność swą złotą
Niebu i ziemi — barwi je, ozłaca,
Ku spójni z niemi wleczona tęsknotą...

W jakieś tajemne wsłuchuje się głosy — —
W jakieś zamierzchłe błyski wspomnień wraca —
Do wtóru wzywa — ziemię i niebiosy.

□

DUSZA.

Dziś mówić będę śpiącej roli
I wichrom, co burzany płaczą,
O snach, co się zwycięstwem kończą.
Dziś duch mej pieśni się wyzwoli...
Poruszę pragnień moich rzekę
I w ciało wichry snów oblekę —
Dam głos nieujarzmionej woli.

Powiem obłokom o mej ciszy
I lasom o szaleństwie mojem.
Z zielonej fali niepokojem
Zbratam się: niech mój smutek słyszy.
Chcę gazę dzisiaj zerwać złotą
I stanąć z dumą i prostotą
Bez szat ozdobnych... Hucznym rojem

Lecą już pieśni, czucia, słowa:
Już grają, skrzą się, łzawią, złocą —
Tysiącem jasnych tęcz migocą — —

Jam łąka tysiackolorowa —
One, jak pszczoły szczerzłote,
Pijące moich snów tęsknotę
Dźwięczna straż moja honorowa.

Śród ludzi namiot mój rozłożę
Dziś — namiot myśli mej wysoki:
Wbiję szczyt jego aż w obłoki,
A ściany — w ziemi twarde łożę.
A gdy się znuży serce moje,
Zwinę biel płócien, złote roje
Rozpędzę i, jak święte boże,

Pójdę nad ciche, ciche wody,
Nad gór błękitnych jasne szlaki,
Słuchać, co kwiaty szemrzą... ptaki...
Co mówi Duch, wieczyste młody...
W melodye wsłucham się siostrzane,
Aż serce znów poczuje zmianę
I zmusi słuchać twóć wszelaki.

—

PRZEBUDZENIE.

Chryste... skąd imię to we mnie się budzi?...
Jakaż mi zorza rozbłyska nad czołem!...
A przecież zdala od życia i ludzi
Jestem... i z wiecznym zmagam się mozołem.

Chryste... Myślałam, że smutek wystudzi
Łono me, bo mię otoczyły kołem
Ciężkie dni — i myśl, co się wiecznie trudzi
We mnie, zgasiły żałobnym zespołem!...

A Ty mi oto dajesz zbawcze dłonie,
Jak boża gwiazda, rozblyskasz nademną!...
Widzę sny moje dawne... młode... czyste...

Wiem, że tak trudno dziś mi sięgać po nie!
Lecz Ty — jak gwiazda, wschodząca w noc ciemną,
Nad duszą moją zlitujesz się, Chryste!



O, BIAŁY CHRYSSTE.

O, biały Chryste! przez żalną ziemię
Echo Twojego głosu kędyś płynie,
Lecz go nie słyszą ci, co niosą brzemie,
A dla tych, co weselą się — wśród wrzawy ginie.

Tylko przed nocą, gdy świat cały drzemie,
Głos Twój się w leśnej odzywa gęstwinie,
Naśladowany przez ptaszęce plemię...
I w słodkiej mowie kwiatów — Twój głos nie przemienie.

I w szmerze źródeł imię Twoje dzwoni...
W skalnych wyżynach odbija się echem...
Czasem się z rzewnych prostych snów dziecka wyłoni...

O, biały Chryste, świat objąłeś cały
Swym kochającym, przezczystym uśmiechem —
Ustom przebac, co Twego słowa zapomniaty!



MODLITWA.

Nieznaną drogą ku Tobie idę, Boże!
Mam wolę dążyć... Czy dojdę? czy zwyciężę?
Bo jakże często wśród drogi się położę —
Jako leniwe zielonołuskie węże,
Wygrzewam duszę we słońcu Twej dobroci
I całą jasność, co z Twego źródła płynie
I mnie prześwietli, upiękni i ozłoci —
Za swoją własność uważać chcę jedynie.

A często również pośrodku drogi stanę,
Nienasyconej ulegnę swej naturze
I, niebo Twoje chłonąc niepokalane,
Przeciw granicom żywota się oburzę...
Chcę prawdy czystej, pragnę ważności chwili...
I wiedza o tem, że czyn, że fakt, krok duszy,
Jako dym drzewny, w powietrzu się rozpyli —
Ta wiedza nieraz do gorzkich łez mnie wzruszy.

Albo mi zsyłasz złudę i wtedy, Boże wielki,
Dzieciątkiem nędznem w obliczu Twojem stoję.

Przerzucam w dłoniach kamyczki i muszelki:
Wtedy zamknięte mej duszy twórcze źródło.
Bo dobrze jest żyć! lecz czuć, że jest się puchem,
Który nieznany wicher przez rozłogi nosi —
I czuć, że twórczym jest się wieczystym duchem,
Lecz ducha tego Moc jakaś łany kosi!...

Dlatego czasem serce ujmuję w ręce
I chcę, jak mieczem, bojować niem wśród drogi...
Czasem, uległszy po nadaremnej męce,
Nurzę w sen serce, w sen róż o zmierzchu błogi...
Lub czołem biję w Twój próg za błękitami,
Na mgnienie chociaż chcę zwolnić się z łańcucha:
Bo, albo falą niech ginę pod falami,
Lub odczuć mi daj — wyzwolonego ducha!...

0

MODLITWA.

Daj mi zawładnąć życiem, o, mój Boże!
Niechaj, dopóki trwam, w potędze tworzę —
Nie na mgłach stoję, ale na opoce.
Niechaj mi ziemia, którą snem ozłocę,
Będzie za szranki, za dom i za łożę.

W uczuciu miary nie znam, ni rubieży,
Dlatego cierpię: mój duch w wieczność bieży...
Więc daj mu z duchem bratnim spłynąć w jedno
I obdarz władzą życia niepowszedną:
Niech w nieskończoność ich moc się rozszerzy!...

Dręczy mnie biedna ułomna myśl moja...
Daj myśli mojej czystość wody źródła,
Pozwól jej wzmódz się, jak górskie strumienie,
A kiedy głązy i piasek wyżenie,
Będzie, jak rzeka — wód mniejszych ostoja.

Męką jest słońce w piersi nieść, gdy w czynie
Ni jeden promień złoty nie popłynie:

Pozwól mi duszę moją wcielić w czyny!
Bo, choćby wielkie były moje winy:
Niech w bezczynności dusza mi nie zginie!

Oddal odemnie pólсны, półnadzieje,
Bo wicher gwałtowny z duszy mojej wieje.
Uczuć i myśli i działań okruchy
Spal ogniem życia, jak łan trawy suchy,
Bo — całą sobą chcę żyć, nim zniszczę!

□

HYMN.

Błogosławiony bądź przez usta moje,
Odwieczny Boże! — położyłeś dłonie
Na skroni świata, a pod dłońmi Twemi
Niebiosa Twoje rozbłysły w gwiazd roje,
Jak ul, sypiący pszczołami złotemi...
Słońc Twoich pożar nieskończenie płonie.

Rozpiąłeś w górze błękitne zwierciadło
I drugie wbiłeś w ramę czarnej ziemi,
By świat odtworzył się w niem po raz wtóry...
Więc z wyżyn patrzą weń gwiazdy i chmury,
A każde z wejrzeń, które tam upadło,
Srebrzy się na dnie perłami cennemi.

Olbrzymie pola do stóp Twoich garną
Żyjące zboża i trawy, i kwiaty...
Potężne lasy hymn ku Tobie wznoszą!...
Uwielbion jesteś przez zmierzch i noc parną!...

Świt i słoneczne dni Twe imię głoszą —
A u stóp Twoich tańczy wiatr skrzydlaty!

Bądź błogosławion przez niebo i ziemię,
Przez wschody słońca i słońca zachody —
Przez wichry, grzmoty i przez nawałnice —
Przez wielkie cisze, przez sny i tęsknice —
Przez dni, i nocce, i ziemie, i wody —
I przez żyjące w trudach ludzkie plemię...

...Przez zwierząt plemię bądź pochwalon, Boże...
Ach, wszystko, na czym jest znamię piękności,
Jest nieśmiertelnem przez obecność Twoją!...
Imię Twe słyhać w wszechświata przestworze,
Ty się objawiasz w duchu pod ciał zbroją
Tem objawieniem jedynem — Miłości!

Uczyń mi łaskę: niech się modłę życiem,
Jako się modlą błękity i drzewa!
Ołtarzem niechaj będą czyny moje!...
Niechaj przed Tobą z czynem każdym stoję,
Jak z duszy mojej zjawionem odbiciem!...
Niech Miłość wieczna w duszy mojej śpiewa!

Bądź błogosławion przez me wierne usta,
Przez krok mój każdy i ruch mojej dłoni!...

Przez piersi moich wdzięczne odetchnienie...
Przez słowo, co jest jako forma pusta,
Nim ją wypełnią tęsknoty płomienie...
Tobą się dusza cała niechaj spłoni!...

=

RÓŻANIEC.

W dniu stworzenia Wszechmocny Bóg, Ojciec bezdeni,
Wziął w nieogarnioną dłoń różaniec swój wielki,
A w nim światy płonęły, jak złote kropelki,
Drobne — wśród nieobjętej, bezkresnej przestrzeni.

Huf aniołów się chylił w pokłonie,
Chwiał srebrnem skrzydłem na wietrze,
A różaniec się w boże wplótł dłonie,
Woń cudną tchnęło powietrze.

Lecz odsłonił swą pychę anioł zbuntowany
I w ciszy głosem wielkim jął miotać złe słowa;
A mowa jego była krwawo-purpurowa,
Wzrok straszny i burzliwe myśli, jak orkany.

Uczyniła się cisza złowroga,
Drgnął biały hufiec aniołów,
A słowa przed jasną myśl Boga —
Padały, jak ciężki ołów.

I boleść rozwiązała Wszechstwórca ramiona,
Ból, jaki zmieścić mogło serce jeno boże:
Pękł różaniec i światy runęły w przestworze —
Każda z gwiazd, niby perła, w ruch wieczny wtrącona.

Bluznił anioł, a za nim szła w zмовie
Brać zbuntowana, milcząca...
I po każdym, rzuconem w dal słowie,
Na mgnienie bladła twarz słońca,

Więc odpowiadał Stwórca na mowę anioła,
Znak potępienia kładł mu na skroń zbuntowaną,
A światy, jaśniejące światłością różaną —
Wszczęły bieg swój, wieczyste zakreślając koła.

Wyklęte strącił na dno ciemnicy,
Wkrąg nieba roztoczył szaniec
I łzę uronił z Bożej źrenicy
Na rozproszony różaniec.

Tylko w nocy niekiedy po strunach księżycy
Westchnienie spływa drżące: imię Boże dzwoni;
To ku gwiazdom, ku ziemi nachylając lica,
Bóg próbuje różaniec wiązać w świętej dłoni...



MIEĆ DUSZĘ...

Mieć duszę śpiewną, jak szumiące morze,
Lecz jeszcze głębszą, bardziej tajemniczą...
Być gwiazdnym hucem w niebios przestworze,
Którego dróg nie policzą...

Mieć serce z ognia, jak serce słoneczne,
Lecz bardziej ciche, niż zorze zachodu — —
Rozgrzewać globy przyszłe, przedwieczne —
A nigdy nie zaznać chłodu...

Mieć myśl bujniejszą, niż wichry stepowe,
Na podobieństwo wichru próżną twogi:
Wichrem przeniknąć życia budowę,
Lecz wszystkie ocalić — bogi!

Jak ciemne knieje, cel swój ukryć w łonie,
Słowo mieć głębsze, niż poszumy boru —
Czyn za to jasny i dziecka skronie,
Ciszę letniego wieczoru...

Wydźwignąć w duszy błękitne sklepienie,
Lecz niech mu ziemi widnokrąg odpowie:
Nietylko ptakiem pomknąć w przestrzenie,
Lecz źrebce w twardej podkowie.

Z każdą żyjącą współczując istotą,
Módcz w piersiach swoich zamknąć całą ziemię;
Lecz — tylko własną wzrastać tęsknotą,
Porzucać nakazów brzemień — —

Mieć szmaragdowe sny — wróżki nadziei,
Sny purpurowe — słonecznego lica
I spływającą z bożych wierzei
Srebrną zadumę księżycy...

Budzić sekundę każdą serca biciem,
Lecz ją przez władzę czynu — zrobić wiekiem!
Takeby życie nazwać można — życiem,
Taką istotę — człowiekiem.



ŻEGLUGA.

Już usiadłam u steru swej łodzi,
Z falą życia borykam się, płynę...
Muszę wodną zdobywać dziedzinę...
Skrzydło własnej przypięłam odwadze
I czy wichr, czy pogoda, czy burza nadchodzi,
Łódź naprzód śmiało prowadzę.

Już mi lądy oddawna się skryły,
Tonie ciemne przedemną się jawią,
Co mi rzeką, co duszy objawia?
Czy ukażą przylądek zbawienia,
Czy mi głębię otworzą, jak łono mogiły —
Wód głuche zawrą sklepienia.

Wiem, że leżą słoneczne krainy,
Sennym gajem dokoła osnute,
Strojne w kłosa, konwalie i rutę —
A w nich moje dziedzictwo spoczywa
I mój scepter, i korona, i gwarne drużyny,
I chwała moja mnie wzywa.

Lecz się boję, że późno przybędę,
Że nie zdążę w lat bujnym rozkwicie — —
Mojem państwem zawładnie kto skrycie...
I gdy późno do lądu przybiję,
Wodna fala odepchnie mnie, jako przybłądę,
Kłamiąc ku brzegom: nie żyje.

A fal głuchy szum do mnie przemawia,
Fala życia mi pluska i szept:
Śpij ty cicho, jak dziecię w kolebce.
Lecz się lękam snu tego na skronie:
Wiem — gdy życie tak woła, przyzywa, pozdrawia,
Pieszcząc, sennego pochłonie.

A ja muszę stać czujnie u wiosła,
Choćby orkan się dziki rozszerzył,
Stać dla druha, co we mnie uwierzył — —
Więc, gdy ufać nie mogę złej toni:
Choćby fala rycząca w głąb wodną mnie niosła,
Wiara śmierć moją osłoni.



ŚRÓD PAPROCI.

Kładę się pośród paproci —
Szumią liściem ponad głową...
Słoneczne oko się złoci
Pod oponą szafirową...

Słucham, co szepcą paprocie
O swej doli, o swym zgonie...
Widzę, jak słońce we złocie
W szczerozłotej łśni koronie...

Paprocie szemrzą o kwiecie,
Który skarbów głąb otwiera...
A słońce szuka po świecie
Prawdy, co się poniewiera.

Paprocie przeżyją lata,
Wzmocnią glebę dla przyszłości...
A słońce przetrwa zgon świata —
Umarłych pobielą kości...

Kędyś paprocie i słońce
W nowej zjawią się postaci...
Bytem o ich byt potrączę — —
Dusza pamięć losów straci — —

I będzie jakaś kraina,
Jakieś kształty, jakieś tony — —
Coś, co mi sen przypomina — —
Ten sam duch, lecz przetworzony — —

Inny trud, postacie, mary,
Barwy, tony, czucia, słowa:
Lecz ten sam duch będzie stary,
Moc ta sama — wiecznie nowa.

□

BŁOGOSŁAWIENI CISI.

Błogosławieni cisi... O, jak mi daleko
Do przezroczonego źródła, z którego wytryska
Błogosławieństwa rosa!
Bo jestem, jak jaskółczę, zabłąkane w rzyńska,
Kędy skrzydła mu ranią zeschnięte twarde zioła,
A żaden kwiat ku niemu nie pochyli czoła...
Bo jestem, jak pątnica zziębnięta i bosa,
Co, w drodze ludzkie nędzne zrzuciwszy łachmany,
Idzie, oczu stęsknionych nie kryjąc powieką,
A burzę w sercu niesie... Przez ten rozplakany
Świat idę: symbol tęskni, duch smutkiem pętany...
Próżno z cieniem nadziei ponad ziemią staję!

W dali wzdychają tonie
Wód, kędy nigdy słońce nie spojrzało!
Woddali spalone błonie,
Umarłe w słońcu, gdy ros pożądało...
W oddali pożar miasta, siedliska ciemnoty,
Gdzie ni szczęścia, ni wiedzy płomień nie padł złoty,

Dopiero dziś — pożarem... W dali huczą młoty
Ludzi grobów... Śmierć-żniwiarz w oddali
Płasa nad łanem istnień, jakby na zbóż fali...
A tam: w dali — — w dali — —
Znicz pragnień się pali,
Których nigdy — nikt, nigdy nie ziści na ziemi!
Ból walk daremnych... płacz nad umarłymi...
Cień tych, co w przeddzień zwycięstw od smutku
skonali!...

Błogosławieństwo cichym... Niema dla mnie ciszy
Nigdzie — na całym kręgu tej ogromnej ziemi,
Rodzicielki niedoli...
Przeniknęłam jej prawa oczyma chciwemi,
Bo mnie wciąż niespokojne serce naprzód gnało
I dziś — z ułud odarta, nie odziana chwałą —
Idę... widziałam ziemię... dusza mnie tak boli...
Wkoło mnie wicher jęków... ludzkości obrazy...
Smęt natury... Westchnienie ziemi ucho słyszy,
A w sercu widzę mojem te szczyrby i skazy,
Którymi świat skaleczon... bo mi się wydaje
Że światu przez los dane — we mnie jęczą razy!

Błogosławieni cisi...

Jam z błogosławieństw wyłączona, Chryste!

Nad ziemią myśl moja wisi,
Jak chusta krwawa... Twoje łyzy przezyste
Jej nie wybielą, Chryste, bom ja — symbol burzy...
Wszystko jest buntem we mnie, serce tak się burzy,
Jak wicher... a myśl podobna szkarłatnej kałuży...
Serce dałam w służbę wielkiej żądy,
Co przynieść ma klucz świata do boskich wrzeczędzy
Szczęścia — — Myśl kołyszę
I rzucam w Twą ciszę,
Jak rozszalałą wicherę stepową!...
Bo ziemi głośny jęk — huczy nad głową —
A w piersi mojej łąka Twe boskie słowo...



W KLASZTORZE.

Na świecie wiosna podobno... Już taje
Lód szczytów, szumne wzbierają potoki
I, dzwoniąc w głązy, płyną w dolne kraje — —
Wezbrany wodą nasz parów głęboki,
Co się otwiera pod stopą klasztoru...
Ranny wiatr przyniósł wiosenny szum boru
I wonie dziwne i upajające...
Podobno pachną tak bory sosnowe,
Gdy pnie ich rankiem pieści złote słońce...
Podobno trawki już podnoszą głowę...

O świecie zbudził mnie śpiew skowronkowy,
Gdy śniłam, żem — jak anioł śnieżnej bieli.
Na łożu siadłam... Anielskie rozmowy
Zda się, że słyszę: to w cichość mej celi
Wtargnęła słodka pieśń ptaszęcej lutni.
Ptak odczuł, że tu w murach ludzie smutni,
I budził śpiewem, jak pocałowaniem.
Więc zapomniałam Chrystusa pozdrowić

I, upojona tem cudnem śpiewaniem,
Czuję, że serce wstaje z ciężkich powić,

Padłam pod oknem na drżące kolana
Z czołem, bezwładnie schylonem u kraty.
A pieśń do serca, jak woda źródłana,
Płynęła — — Zbudził mnie śpiewak skrzydlaty:
Czułam, że żywa, że dziewicze łono
Drży... Chociaż jestem Bogu poślubiona,
Uczułam pierwszy raz, że dziecko ziemi!
Więc patrzę: niebo rumiane, a potem —
Sosny gór... w wieńcu jutrzeńki nad niemi
Ptasząt gonitwy... bliżej — płynnem złotem

Drżące powietrze... wnet — mury omszałe...
Bliżej, pod oknem, świerk, rażon piorunem!
A potem — — tylko plamy złote, białe,
W uszach szum, jakby narzędziem bezstrunem
Stały się nagle... W oczach rdzawa krata...
Nie widzę... siła mych ócz się rozplata...
Nie czuję... chcę wnet biedz — lecz nie wiem, za
czem...

Wstawam... lecz z kratą zjednoczone dłonie...
Niepowściągnionym, strasznym, nagłym płaczem
Wybucham!... We łzach serce moje tonie.

Płaczę, ah, piersi od łez niechaj pękną!
Tak biedna jestem, drobna, zapomniana!
Na piersiach fałdy włosiennicy miękną
Pod łez potokiem... Cela nieogrzana,
Więc chłodna wilgoć pokutnej koszuli
W podrzutach dreszczów ciało moje tuli...
Pod memi łzami okienne żelaza
Zczerniały, plamy rdzy stały się krwawe.
Wreszcie do łez tych zdjęła mnie odraza,
Wszczęłam nieśmiałą ze sercem rozprawę...

Jęłam się modlić: „O, przebacz mi, Chryste“...
Ale nie śmiałam oczu podnieść w górę,
Bo serce moje nie było już czyste!
Jakieś wyrazy wstawały ponure
I niweczyły prostotę pacierza.
Już nie wiedziałam, dokąd serce zmierza,
Bo się plątały uczucia i słowa,
Dziś po raz pierwszy obudzone we mnie,
I pacierz rwał się, jak nić kolorowa!
Czułam, że błagać o łaskę daremnie!...

Że już nie jestem godna Bożej dłoni
Na czoło, bom jest z marności i ziemi!
Żem już upadła śród tęsknej pogoni,

Ja, co pragnęłam być między szczęsnemi,
Co w raj, kędy Chrystus chodzi bosy,
Pod stopy ścierał mi złociste włosy
I kładł czoła przezrocze i białe
Na ścieżkach, kędy jest ślad Jego boży,
I w rajskim sadzie, jak jagnięta małe
Wokół pasterza — piją blaski zorzy...

Nie czułam chłodu, nie czułam rozpacz! —
Tylko słyszałam głośnie serce moje,
Bogu przeciwne... Czy mi Bóg przebaczy!...
Wstawały w sercu nagle niepokoje
I takie dziwne gwary i dzwonienie,
Jak to radosne skowronkowe pienie,
Co mnie zbudziło... Spałam?... Chryste, Chryste,
Mnie się wydaje, że przespałam życie,
A dziś zbudziłam się!... Tyś mi srebrzyste
Ptaszeczki dzwoniące zawiesił w błękicie,

Czy moc piekielna?... Tyś mi ku błękitom
Porwał wzrok?... Tyś mi dał uczuć, że jestem?
Tyśże wyzwolił we mnie moc ukrytą?
Tyśże to, Chryste?!... Złowrobnym szelestem
Padają słowa pacierza... Powoli —
Umilkło wszystko, co dręczy i boli. —

Wówczas dźwignęłam wzrok na białe ściany,
Na kratę okna, w drzwi... na włosienicę...
Ah! wzdłuż mej celi pas leżał świetlany,
Słoneczny — — Słońce weszło krasnolice,
Płynęło falą złotą poprzez kratę
I na krucyfiks, rozpięty na murze,
Rzucalo blaski przejrzyste, skrzydlate,
Jak rój motyli, tańczący w lazurze...
Wymalowało złotem białe ściany,
Rozbłysło... Chryste mój ukrzyżowany,
Jeżeli grzeszę — przebacz! mnie się zdało...
I w serce nagła spłynęła pociecha:
Postrzegłam, że, gdy słońce rozgorzało,
Nawet się Twoja blada twarz uśmiecha!...
Potem biegnące przez mroki mej celi
Upadło słonko aż na piersi moje,
Jak złoty szkaplerz, któryby anieli
Przynieśli rankiem... Włosów moich zwoje
Rozbłysły, niby ogień na pustkowiu,
I stałam, jak królowna w złotogłowie,
Bo włosienica moja w słońca złocie
Lśniła, jak bisior królewski! Tak strojne
Te panny święte, oddane tęsknocie
Z liliami w dłoni — ciche, bogobojne,

Które uwiecznia dłoń zakonna w mszale
Na pierwszej karcie: stoją, chyląc głowy,
Mówiące: „Boże, Ciebie tylko chwale“...
Podobno z wiosną, gdy kwitną dąbrowy,
Brzegiem strumieni stoją białe brzozy,
Zczerniałe olchy, jawory i łozy
I szepcą: Ciebie tylko chwale, Boże.
Śnił mi się kiedyś sen: z siostr zmarłych jedna
Przyszła mówiąca: „Gdybym miała łożę
Śród kwiatów leśnych — żyłabym.“ — Oh, biedna!...

... Pamiętam — dawno — czy sen to, czy jawa? —
Łąka, jaskrami i miętą pachnąca — —
Wonną wilgocią przesiąknięta trawa
I tyle słońca! snopy całe słońca...
A mnie maleńką trawy biły w czoło...
Bo niegdyś byłam, jak łątki, wesołą
I z nimi codzien igrąłam na łące — —
A ojciec rękę kładł na moją głowę,
Mówiąc matuchnie: To dziecko, jak słońce — —
I ma dziergane słonkiem włoski płowe...

A później — — Nie wiem, co się później działo. —
Dwa pomnę tylko wzgóreczki piaszczyste...
Ojciec i matka — — co się z nimi stało?!...

Błagałam, byś mnie wziął, o, biały Chryste!
Chciałam rozerwać te piasku pagórki,
Nie wiedząc, czemu wyrzekli się córki
Rodzice moi!... Wiem, że gdy o świcie
Ksiądz przyszedł, twarz mi osłonił rękami,
Ukląkł, wzrok utkwić mi kazał w błękanie —
Wstałam... Przesiąkły był grób memi łzami...

I gdy ksiądz szepnął: „Módl się, moja droga“...
Spytałam: o co? — „Módl się o pokorę“...
Krzyknęłam z płaczem: Przecież niema Boga!
Bo miałam serce nieszczęściami chore...
A ksiądz mi mówił: „Niech Ci Bóg przebaczy“...
Boże! gdy człowiek przeklnie Cię z rozpaczny,
Ty wiesz, że ani jedna nie zagaśnie
Gwiazdeczka w tęczy, którą masz nad czołem...
Był to dzień Maryi... i w owym to właśnie
Dniu — jam przysięgła być bożym aniołem.

Klasztorna cisza tak mnie czasem trwoży,
Jakby grzech dawny lkał wśród korytarzy...
Gdy słońce do snu już głowę ułoży,
O czymś nieznanem moja dusza marzy — —
Czasem noc długą wśród celi przeplaczę,
Czekając, zali w mroku nie obaczę

Najświętszej Matki, co mój płacz usłyszy,
Spyta: Kto łzami rzewnymi obmywa
Syna mojego stopy? — Przyjdzie w ciszy,
Zrenic mych dotknie, mówiąc: „Nieszczęśliwa“...

A potem szepnie: Niosę ci zbawienie:
Jest u mnie stadko białutkich gołębi,
I twoją duszę w gołąbka przemienie,
Niechaj się ze mną w niebiosach zagłębi...

Na świecie wiosna... Słońce rankiem wniosło
Do celi mojej myśl ziemską, wyniosła,
Którą oblałam łzą... Dawne wspomnienia,
Dawne obrazy płynęły po złotem
Przędziwie, tkanem z jasnego promienia,
I napełniły mi celę łoskotem

Ziemi, poszumem drzew, szeptem paproci,
Gwarą wód, jaskrów, mleczów, macierzanki...
Patrzałam: cela iskrzy się i złoci,
Zmiędzy krat blaski wiją się, jak wianki —
Snop złota płonie na mojej pościeli —
Mroczna Chrystusa twarz w słońcu się bieli,
Jak ciemne płótna w klasztorным ogrodzie!...
Promień słoneczny niesie wiosnę, śpiewa,

Strzałą promienną twarde mury bodzie,
Roztopia gwoździe krzyżowego drzewa!...

Znowu słońeczko z pozdrowieniem biegło
Ku mnie, com niegdyś była dzieckiem słońca!
Ujrzałam znowu młodość mą ubiegłą — —
Znów opłynęła mnie fala gorąca —
I te promienie, co pieściły kłosa,
Przyszły, by wiankiem oplatać me włosy,
Przeplatać blaskiem zakonne warkocze,
Palić w mych oczach iskry niezliczone,
Kiedy wzrok zimny wokół celi toczę...
Uczułam: w słodkim zachwyceniu tonę.

Bo wszak pieściło mnie to samo słońko,
Co hen rozgrzało ziemię, dobrą matkę...
Co szło nad lasem, nad wodą, nad łąką...
Ubrało w królów szkarłat chłopską chatkę,
A nad tą chatą, kiedy się uśmiecha,
Mieni się kruszcem jej słomiana strzecha.
Przecież to słońko całowało wodę
I rybkom w łuskę siało blaszki rdzawe;
Teraz mi niosło ich wejrzenia młode,
Plusk małych skrzydelek i strumyka wrzawę...

Przecież tam w zbożach, w polnych bratków twarze
Ten promyk spojrział, kradnąc im kolory...
Ku niemu oczu wznieść ja się nie ważę,
Bo wzrok mój pewnie przygasły lub chory...
Bo, ah, przyćmiły go klasztorne mroki!
A tam błękitny świat... gwarny... szeroki...
Tam, kiedy słońko spływa na ogrody,
Podnoszą kwiaty przeczyste źrenice,
A słońko, promyk roznieciwszy młody,
Rozdaje barwy, mówiąc: Niech zaszczycę

Ciebie swym blaskiem, słońeczniku dumny
I mleczu, mały braciszku mój... Z wami
Podziela szmaragd sosnowe kolumny,
O, szmaragdowe skrzypy... Błękitami —
Niechaj cykoryi błysną modre oczy,
A w twej źrenicy niechaj się jednoczy
Świeżość, blask świtu i róże jutrzeńki,
O, wonny kwiecie różowy jabłoni!
W niepokalane ubierz się sukienki,
Narcyzie — malwom niech się liczko spleśni...

Tak, płynąc, z góry barwy im rozdziela...
A teraz w moje uderza źrenice!
Słońce!... Zdaje się, że czuję woń ziela,

Że kwiaty ścielą się na moje lice,
Bo ten mnie promień pieści, co je pieści!...
Klasztor głos ziemi dziś w łonie pomieścił:
Szept słyszę trawy, jaskrów, macierzanki,
Poszumy zboża, gwar wód, szmer dąbrowy,
I widzę dziewy, ubrane w równianki,
Śmiech dzieciak słyszę i śpiew skowronkowy...

O, słońce! słońce! zegnałam Cię płaczem,
Ty, żywicielu, bracie... dziecię boże!...
Ileż lat tęskniąc, niewiedząca za czem,
Nie zgadłam, że to zgasły mi twe zorze,
O, słońce moje!... To nie widząc ciebie,
Jam była niby na własnym pogrzebie
I bez miłości gasło serce moje
Puste, zbolełe, wstrętem przeniknione,
Jako bez wody — puste wyschłe źródło...
O, słońce, bądź mi dziś błogosławione!

Odnajduję cię... Ileż łez, rozpaczy...
Straszne cierniowe drogi!... a na ciele
I na mej duszy — tyle ran !... Co znaczy —
Wyrzec się Ciebie! Do nóg Ci się ścielę
Dusza pokorna moja i gorące
Łzy leje, Ciebie dziś witając, słońce!

Promieniem, co się, jako świt różowy,
Objawia rankiem, błogosławiąc łąny
I pieszcząc łąki, wioski i dąbrowy —
Dotknij mnie, duszy mojej wylecz rany!

Bom grzeszna, ciało biczując w świtania,
Zamiast radować się młodością swoją,
Jak ziemia, gdy się z mgieł rankiem odsłania,
Błogosławiąca życie!... Twardą zbroją
Wyrzeczeń jam się grodziła od świata:
Czystszą jaskółka, gdy w niebo wylata,
Zyjąc w światłości pod okiem przyrody,
Niż ja! Bo jam się ukrywała w mroku,
Zrzekłam się życia i własnej urody,
Lecz żyłam w dymie pragnień, jak w obłoku.

Czy to jest winą, gdy się Bogu złoży
Ofiarę z życia... (słońce myśli gnało...)
I kiedy serce przecuciem się trwoży
Tego zła, które ludzkości żre ciało,
A tak zamyka się, jak perła w muszli — —
O, biada tym, co troskom życia uszli!...
Biada mnie... Jezu! wszakże o zbawienie
Zebrzę przez moje posty i pacierze...
„Będziesz zbawiony przez czyn i cierpienie“...
Tak, Ty cierpiełeś, Chryste, a ja — wierzę...

Kiedy Ty szedłeś, ostrzone krzemienie
Słały się zdradnie pod stopy młodzieńcze,
Raniąc je... W głowę Twoją nieskończenie
Bił żar i grady, i deszcze... ja wieńczę
Miękkim welonem moje grzeszne skronie,
Choć nigdy słońce nademną nie płonie,
Nigdy piwnicznych mroków nie rozgrzeje...
A pod mą stopą płyty marmurowe,
Gładkie, ciosane... Mnie kute wierzeje
Bronią przed ludźmi... Tyś niósł wolną głowę

Przed całym światem, przed ludźmi i Bogiem...
Niebezpieczeństwem pogardziłeś... Jasno
Wyrzekłeś to, co marzył duch... za progiem
Celi ja męczę się wciąż duszą własną!...
Nie odepchnąłeś od siebie nikogo:
Biednych rybaków, niewiastę ubogą
Darzyłeś sercem i braterskim słowem,
A dziatki kładły się u Twoich kolan,
Śniąc słodko, jakby na łonie ojcowem...
Mój dzień samotny jest łzą gorzką polan.

Bo nie mam siostry, ani przyjaciela,
Ani matczynej piersi, ani ojca,
Mnie ludzki żaden czyn nie rozwesela

I tylko smutek Twojego ogrojca
Cięży nademną. Jak pod oliwami
Płakałeś: płaczę samotnymi łzami.
Tyś deptał niwy, kłosami dzwoniące,
Ze źródeł piłeś, sypiałeś wśród zboża — —
Byłeś słoneczny, bo patrzałeś w słońce,
I słońce piła dusza Twoja boża!

A ja tu w mroku... Jakież ja tu czyny
I myśli jakie w tych mrokach urodzę!
Usycham nakształt podskalnej krzewiny,
Lub, jako trawka na publicznej drodze,
Mrę w suszy serca... O, mój biały Chryste,
Ja miałam dawniej serce takie czyste,
Jak Twoje... więc niech dzisiaj mi przebaczy
Twój Duch, gdy słowem uderzę bluźniącym,
Bo nieprzytomna dziś jestem z rozpacz
I konam w strasznej tęsknocie za słońcem!...

Zanim te myśli rozjękły wśród celi —
(A był to ranek) — nagle mi się mrokiem
Przysłania celi... jeszcze mi się bieli
Przez mgnienie — w jakimś zdumieniu głębokim
Pobladło raptem lice Chrystusowe — —
I czuję, że mam na posadzce głowę,

Że niewidzialna moc krzyż mi druzgota,
Że padam z jękiem i mam pod ustami
Chropawe głązy... Kędy smuga złota
Błyszcząca — szary kurz dłonie mi plami.

Słyszę: jakgdyby piorun szczytem gmachu
Runął i zapadł w milczeniu głębokiem, —
Potem znów piorun za piorunem!... W strachu
Zadrzałam, czując Boga za obłokiem,
Z którego gniewne przebłyska oblicze...
I znowu piorun!... Nigdy nie policzę
Tych gromów bożych, bijących z wysoka:
Bił grom po gromie i spletał się z gromem,
Jakgdyby niebios pękała opoka,
Jakby niebiosia rwał Bóg, miecąc złomem!

Słyszę — wrywa się z łoskotu nagłe
I grzmi nad światem trąba Archanioła!
Widzę dwu skrzydeł archanielskich żagle!
Czuję: me imię gniewny głos zawoła!...
Drzę... dźwierza celi rozwarło z łoskotem!...
Potem nie czuję nic, konam... a potem
Jakieś mnie ręce podnoszą... głos bije
W pierś, jak pokutny pas: „Zgrzeszyłaś, siostró,
Bez ciebie jutrznię śpiewano“... Jak żmije,
Wpiły się w moją myśl te słowa, ostro

Mówione. Wstałam: nagle dłoń ukaże
Korytarz — wszystko w oczach mi się mieni — —
Cicho w sklepienie wchodzę korytarze...
Już wiem, poznałam: przy mnie stała ksieni,
Klasztoru matka. Przystanąła w niszy,
Ściągnęła na mą głowę dłoń i szept
Pacierz, których ucho nie dosłyszy.
Ja — tak bezwładna, jak dziecię w kolebce.

Nie wiem, jak długo szłam przez korytarze:
Filary rzędem dźwigają sklepienie,
Czasem purpurę rozścielą witraże,
Albo po ścianach snują niestrudzenie
Ciche, powiewne, błękitne welony...
Fiolet rozbijają na iskier miliony
I po powietrzu rozrzucają obficie,
Jak fioletowe kwiecie heliotropu;
Czasem gwiazd milion, jak rumianki w życie
Rozsieją we mchu wilgotnego stropu.

A potem znów się zanurzamy w mroki.
I nagła wilgoć upada na płuca,
Oddech, zazwyczaj równy i głęboki,
Rwie się i suchy kaszel z płuc wyrzuca.
Myśl jedna, drugą, jak jaskółka, goni.

Drewniany sandał o zimny głaz dzwoni...
Dłoń ściagnę: śliska ściana pod palcami
Szkli kroplę, co się sączy od stuleci:
Ciemny mur piętnem ciemniejszym popłami,
W sieci pajęczej bujając zaświeci,

Szmerem obudzi ciszę, gdy przebije
Tkanę pajęczą i głaz wolno drąży...
Idę, wyteżam wzrok, wydłużam szyję...
Jak cień po murach — tak myśl w kółko krąży.
Znów ciemniej, głazy nierówne i ostre
Pod stopą... padam... z oczu gubię siostrę...
Idę spieszniej, znów słyszę miarowe stąpanie...
A wtem coś błysnie! Jakieś nagle święto!
Coś się objawia!... coś nagle się stanie,
Jakgdyby z oczu moich bielmo zdjęto...

Ah, to snop światła u progów krużganka
W rozbity witraż wdziera się przemocą!...
Okna, ujęte jakby w okrąg wianka
Szkarałatnych maków, iskrzą się i złocą
W tem obramieniu stłuczonych kryształów.
Pod arkadami złote kłamry mszałów
Błyszczą: to promień, o słup załamany!...
Stąpamy w świetle, modląc się... mój Boże!

Jaskółka, wpadłszy, tłucze się o ściany,
O szklany witraż poranić się może...

Kwili... skrzydelka widzę niebieskawe...
Mijamy progi — nie słyszałam wcale,
Gdy siostra głośno odmówiła „Ave“...
Padła jaskółka u nóg... szłyśmy dalej.
Wracały siostry z twarzą zaslonioną
Po prześpiewanej jutrzni, a na łono
Wszystkie złożyły skrzyżowane dłonie;
Jako cherubów szereg białolicy,
Przeszły, a każda w rozmodleniu tonie — —
Podniosłam głowę: byliśmy w kaplicy.

Objął mnie nagle chłód pozagrobowy...
Jak wiew mogilny, tak zwolna nieznaną
Moc wstrząsła ciałem od stóp aż do głowy,
Śmiertelnym chłodem zadrżały kolana,
I chłód popłynął w drętwiejące palce.
Osłabłam cała w tej śmiertelnej walce,
Jaką toczyły głosy mojej duszy.
Patrzałam: matka zakonna przedemną —
Może ją biedna młodość moja wzruszy,
Gdy pozna, że mi jest chłodno i ciemno.

Bo tak mi było trzeba dobrej dłoni,
By móżdż się dźwignąć i odzyskać męstwo.
Myślałam: ona mi duszę osłoni
Przez dobroczynnych dłoni czarno-księstwo
I drogę wskaże. Mówię: Matko, matko...
Wtem kaszel przerwał... trząśł piersiową klatką,
Jakby rozerwać chciał ten domek z gliny
I duszę zwolnić... Szepcę: „Matko moja!
Nieogarnione są dziś moje winy,
Znikomą była myśli mojej zbroja,

Ale wiem: gdyby inny żywot wolny,
Gdyby nie owy chłód mego żywota,
Gdyby móżdż stać się prostą, jak kwiat polny,
Jeszcze się Bogu wypłacę... Tęsknota
Rwie duszę moją: przez czyn się podniosę
Ku Bogu, jako źdźbło, zgięte przez rosę,
I ufam, że mi dobry Bóg przebaczy,
Kiedy go czynem pochwalę!...“ Tej mowy
Kończyć nie mogłam z bezmiernej rozpaczy,
A członki moje ziębił chłód grobowy...

Podniosłam głowę: nie takie upiorne
Są gorejące woskowe gromnice,
Jak oczy ksieni!... Organy nieszporne

Cichsze, niż głos jej, a posępne lice
Straszniejsze, niżli trumienne całuny!
Nie wiem, co rzekła; jakiś srebrnoruny
Obłok zasłonił mi wzrok, a na uszy
Padła głuchota... tylko czasem słowo,
Jak głaz, upadnie w mózg, lecz nie poruszy!...
Pomnę, że męką trwożyła ogniową,

Że mnie, szatanów opasaną wieńcem,
Widziała z duszą, na węgiel spaloną,
I z potępieńczym na licu rumieńcem...
Rzekła, że wąż mi opierścienia łono —
I rozplakała się nad moją dolą!
Czułam, że łyzy te mnie pieką i bolą...
Uklękałam: ołtarz stał przedemną wielki —
Wydało mi się, że trzeszczą sklepienia,
Że rozwiązują się rusztowań belki,
Że kruszą cegły, ołtarz w gruz przemienia!...

Na rozkaz Matki ujarzmiłam ciało,
Rzuciłam krzyżem na kamień kościoła;
Czułam, że serce we mnie kamieniało.
Pozamną siostry weszły i dokoła
Kłękły, różańców odliczając ziarna.
Była godzina, jak przed burzą, parna.

Nademną brzmiały półgłosne pacierze
I psalm pokutny żalu wył nademną!...
Czułam, że dusza nic w sobie nie bierze,
Czułam, że we mnie jest zimno i ciemno.

Sióstr moich głosy młode i nieśmiałe
Płynęły w górę, jak płacz nasz zbiorowy,
Rwały się, bijąc w kamienną powałę —
Jak ciemny całun, dokoła mej głowy
Padały z jękiem: „Otośmy przed Tobą,
Jako proch nędzny, odziane żałobą,
Grzechem skalane, marne sługi Twoje,
O, Stworzycielu, litosne spuść dłonie,
Powłokę ziemską druzgocz i, podwoje
Niebios otwarłszy, puść na swoje błonie“.

Widziałam całą tę trzódkę owieczek,
Czystą i biedną, małą i strwożoną,
W odblasku gromnic i woskowych świeczek,
Z wątlami dłońmi, kryjącemi łono,
Z błękitem zrenic, zamroczonych łzami,
Z licem różanem, które zwolna plami
Rdza samotności i wilgoć klasztoru.
Kwiaty dziewicze, łamane przez posty...
Odczułam smutek dziecięcego choru,
Przeczułam ludzki żal — zwykły żal prosty,

Płaczący na dnie tych serc, i nad całą
Tą nędzą, niby matka, zapłakałam!...
Msza była. Tysiąc trąb nademną grzmiało
I organ głośno łkał — ja nie słyszałam,
Bo we łzach całą utonęłam duszą.
Któż pojmie boleść myśli, które zmuszą
Płakać samotne serce! Oto biegła
Dusza ku Bogu i już nie za siebie,
Lecz za świat cierpiąc, stała się rozległa,
Jak świat, i z płaczem utonęła w niebie...

Zmysły usnęły. Ani dym kadzidel
Nie drażnił nozdrzy, ani dotknął ucha
Gwar nabożeństwa. W lot anielskich skrzydeł
Kiedy się dusza płacząca zasłucha,
Nie może wówczas znieść władzy nad ciałem:
Błyszczałam okiem szklanem, odrętwiałem —
Nie widząc. W ustach miałam suchość. Skóra
Nie brała życia z powietrza i była,
Jako pergamin. Członki, jak kość, która
Wyschła na wietrze. Głowa, jako bryła.

Tak położyłam się, jak piasku ziarno,
Mojemu Panu pod stopy. Milcząca,
Jako umarli. Godziny się garną

Pod Pańskie stopy. Gromnica ły strąca,
Żółte, jak bursztyn, przed Pańskim obrazem —
Nędzarzem jestem, żebrzę, a zarazem
Cześć niosę Panu... Cienie się gromadzą,
Idą ku Panu przez ciszę kaplicy...
Nad ciałem wzniosłam się duchową władzą,
Dusza przed Panem lśni, jak płomyk świecy.

Dzień tak przeminął. Postrzegę zaledwie,
Że o dzień jeden bliższa już mogiła...
Padł mrok. Gromnice zagasły obiedwie.
Powstałam chwiejnie, jak winem opita,
Czarne mi płyty biegły przed źrenice...
Ustami dużo powietrza zachwyce,
Przykłonę... stanę... liczę kroki chwiejne...
Nowe gromnice dwie znowu rozpale,
I myśl mnie zbudzi: „jestem“... beznadziejne
Powstaną w sercu uczucia i żale...

Skuliłam ciało bolesne i długo
Stałam wśród mroków. Na pierś pokutnicy
Lały się ciche ły bezwolną strugą.

Aż przed wieczorem szereg białolicy
Sióstr moich spłynął gronem rozszeptanem,

Aby przed nocą pogodzić się z Panem...
Długo kolejno przy okienku w murze
Szły pochylone spowiadać swe winy
I odchodziły z oczyma ku górze —
Zmyte spowiedzią białe cherubiny.

Moc mnie rzuciła wówczas na kolana
U okna w murze. Już kratak dotyka
Twarz moja, łzami boleści zalana.
Widzę, jak za mgłą, lice spowiednika,
Słyszę kapłana głos: „Jakież tve grzechy?“
A w sobie czuję płacz, trwogi, uśmiechy,
Głos mi się łamie, myśl, jak tuman szary,
Pierzcha, nim usta wyrzucą ją drżące...
A kapłan szepce: „Zrzuć z serca ciężary“...
Zaszlocham nagle: „Pokochałam słońce“...

Więc badał kapłan serce moje chore,
A ja w szlochaniu wyznawałam winę:
Że słońce zdarło z mej duszy pokorę
I słyszę głosy ziemi... że jedyne
Światło tam, kędy radość, bo nie szkodzi
Twórczy śmiech Bogu... zło się z płaczu rodzi...
Że Bóg współczuje temu żywotowi,
Co czynem stwierdza, jak owocem drzewa...

Szlochałam: „ Nigdy moja nie wypowie
Dusza, lecz dozwól, niech czynem wyśpiewa!...

Bo wiem, że każdy kwiatek Boga chwali
Kolorem płatków, rozkwitem i ziarnem...
Że Imię Pańskie — w zbóż dojrzałej fali...
Życie motylka nawet nie jest marnem
W obliczu Ojca... Ptaszyny szczebiocą
Śród gniazd i życiem Boże stopy złocą,
Bo ich ołtarzem: gniazdko i krzewina.
Lazurem niebo maluje tron Boga,
Kropelka wody lazur przypomina — —
Ludziom, roślinom, ptakom — jedna droga!...

Widzę — szlochałam — widzę: tylko życiem
Bogu się można wypłacić. Mieć wolę,
Aby czyn każdy był duszy odbiciem,
Żyć! Duszę wcielać w czyn! Być, jako pole,
Z którego kwitną bujne kłosy, drzewa —
Gdzie dąb się chwieje i gdzie kwiat dojrzewa...
Myślą, marzeniem, miłością i czynem
Kwitnąć przed Panem, jak ziemia rozkwita...
Słońce jest Bożym ukochanym synem...
Cóż powiem, kiedy Bóg o mnie zapyta!..."

I nie rozgrzeszył! Stary kapłan siwy,
Co już pół wieka badał grzeszne dusze —
Rozgrzeszyć nie chciał! „Jako łuk z cięciwy
Spuszczony, padnę w twą pychę i skruszę
Pogańskie serce twoje“, — wołał do mnie!
A we mnie dusza drżała nieprzytomnie...
Dla Boga! wszakże myśl mnie kołysała,
Że kiedy serce własną burzę zdradzi,
Gdy wyznam prawdę: Bogu będzie chwała,
I kapłan w słońce mnie sam wyprowadzi.

Że spadną rdzawe klasztorne wrzeciądze,
Furty klasztornej zaskrzypią zawiasy —
Ja serce własne przez chwilę osądzę,
Gdy ujrzę łąki, pagórki i lasy
I nakształt ptaka poczuję znów skrzydła!...
Kapłan powiedział: „Tys Bogu obrzydła
Przez pychę — rozum trzeba ująć w pęta“....
Wtedy mi nagle w świetle wyobraźni
Dola pokutnic stanęła przekłęta:
Te miejsca kary i klasztornych kaźni,

Gdzie śmierć się zmagą z głodem, lęk z rozpaczą,
I czując każdy włos, dreszczem ruszony,
Przeczułam, co te słowa księdza znaczą...

Nagle poczęły dzwonić wszystkie dzwony,
Zgon zwiastujące: bo już od tygodnia
W samotnej celi gasła, jak pochodnia,
Z wszystkich najmłodsza siostr. — W strasznej ciemnicy
Żyła dni dziesięć za nieznaną winę,
Wyszedłszy, łkała: „umieram z tęsknicy“ —
To były słowa ostatnie, jedyne,

Jakie wymówić mogła i skołała
Z tym krzykiem... Biły oszalałe dzwony.
Kapłan dłoń uniósł — dłoń, jak lilia biała,
Jęła drzeć... potem trwał nieporuszony
Starzec czcigodny... Mnie się wtedy zdało,
Że nie dzwon jęczy, tylko moje ciało
Stało się nagle tym pozgonnym dzwonem!
Krzyk runął z piersi: Boże ratuj, Boże!...
W zapamiętaniu wołałam szalonym.
Dzwon jęczał. Wstał ksiądz. Rzekł: „Odejdź w po-
korze“.

Tylko te dzwony wołały nademną,
Niegodną wielkiej łaski rozgrzeszenia —
Boże, jak ciemno — — Boże, jakże ciemno — —
Słysząc stąpanie po bruku z kamienia:
To ksiądz odchodził z błogostawieństw rosą.

Gdzież mnie Twe dzwony, o, Boże, uniosą?
Zdeptana leżę u nóg Twoich, Panie,
Wyrokiem Twoim, czy sługi Twojego!
Noc idzie — czyliż ciemność pozostanie
I Twe anioły z światłem nie nadbiegą?...

Wydało mi się, że szła oto długo
Ku Jezusowi ścieżyną żywota,
Śród łez, co z oczu biegły wieczną strugą,
W ciszy, co przedzę tęsknot jasnych mota — —
Że mój dzień już się chylił do zachodu
I wciąż do bramy rajskiego ogrodu
Coraz mi bliżej było, coraz pewniej — —
Że mnie policzyć miał Bóg w święte swoje,
I nagle w przeddzień, zanim się spokrewnię
Z czeladką bożą — zamknięto podwoje!...

Że mnie stojącą prawie u nóg Pana
Jakiś cios nagły zgłuszył i zdruzgotał —
Pod ciosem gładów — upadam złamana,
Zdradliwy pająk w sieci mię omotał...
Żem się potknęła przed Chrystusem Panem,
Ja, która z sercem szłam niepokalanem
I tak pragnęłam pośród ścieżek wiewa
Jego prawdziwą odnaleźć ścieżynę

I pójść ku Niemu tą drogą wesela —
A oto, ścieżkę odnajdując, ginę!

Wydało mi się, że mi duszę wzięto
I z myślą moją wraz ukrzyżowano.
Nierozgrzeszoną byłam i przeklętą.
Serce się stało jedną wielką raną
I biło we mnie głosem wszystkich dzwonów.
Odczułam nicość płaczów i pokłonów
Z tą płamą, co mi świeciła nad czołem.
Tak mię osądził twardo sługa boży,
Zem się uczuła strąconym aniołem,
A klątwa gniotła mnie nakształt obroży.

Ognista obręcz w pierś i kark się wbija,
Sługi bożego dłonią nałożona;
Gnie się wyklęta, spokorniała szyja,
I ślepe dłonie ból cisną do łona;
Półmartwe oczy zamykam i gardła
Strzegę, by moja myśl się nie wydarła,
Głuszac te dzwony, strasznie wołające
O śmierci trupiej potędze i chwale...
Konam, omdlewam, zrywam się i mące
Głos dzwonów szeptem... i bluźnię... i chwale...

— — — — —

Koło północy ocknęłam się w celi,
Żalobę duszy przypomniałam... Zbladła,
Bez znaku krzyża siadłam na pościeli,
Zziębnięta w zgrzebnem płótnie prześcieradła...
Lampka mrugała przed obrazem Pana,
Głąb celi mrokiem, jak kirem, wysłana,
Nademną jakieś szmery, jakieś cienie...
Oddech płuc moich, tworząc obłok szary,
W zimnem powietrzu płynął pod sklepienie...
O, jak okropne są duszy ciężary!...

Wydała mi się cela miejscem trwogi,
Gdzie kona ciało, dusza, myśli, serce...
Gdzie rządzi pustka, twój przekłety, srogi,
Co ludzkie życie gubi w poniewierce...
Głazy posadzki zimne — ściany szare —
Sklepy, miażdżące uwięzioną wiarę,
I małe okno, wieczyste zawarte...
Kraty żelazne, symbole więzienia —
Kraty odwieczne, rdzą wieków przeżarte,
A z tych krat — niema dla duszy zbawienia!

I wstręt, jak wicher, porwał myśli moje,
Jakby toń morza, duszę wzburzył do dna!
Bunt wdarł się w serca otwarte podwoje:

Wstałam — ja, nędzna, spragniona i głodna
I, poraz pierwszy rzuciwszy ukrycie,
W tę noc, płacząca, wołałam o życie!...
Biegłam ku oknu i z rozpaczą długo
Walcząc, zerwałam żelazne wiązadło:
W noc, szlochającą wiosenną szarugą,
Wyrwane okno z dłoni mej wypadło,

I wichur wdarł się do celi!... W koszuli
Stałam, trzymając pręty rdzawej kraty,
Radosna, że mnie wichur wiosenny tuli...
W oczach gorzały mi czerwone pląty,
A pot kroplami chłodził ogień czoła.
Gdy na mur, z cegieł biegnący dokoła,
Spojrzałam, z okna wychyliwszy głowę:
U nóg mych przepaść, bruk podwórca w dole
I wielkie u wrót kamienie ciosowe,
Broniące wejścia... Za murami — pole...

Czy chwila tylko, czy chwil takich wiele
Przeszło — nie pomnę. W bezprzytomnym szale
Padłam na kraty!... Zdało się — spopieleę
Duszę w tym ogniu, ciało własne spaleę
Żądzą wolności... Moc niezwyciężona
O rdzawą kratę wsparła me ramiona,

Krwia zczerwieniłam żelazne zapory.
Walczyłam przeciw głuchej, martwej sile,
Bo wówczas, wzamian za mój żywot chory —
Wzięłabym wszystko, nawet sen w mogile!

Przy pierwszej próbie, krata mi zraniła
Pierś, że upadłam u okna bez mocy...
Lecz mnie porwała nieznana mi siła —
Jak burza, tak mnie niosła owej nocy!...
Raz wtóry ramię zmogłam, walcząc z kratą,
I znów upadłam... Lecz trzeci raz zato
Uczułam, że się pręt żelazny kruszy —
Więc wszystkich sił dobytek do ostatka,
Z zmartwychwstającą znów nadzieją w duszy
Szarpnęłam: zewnątrz była ściana gładka...

.
.
.
.
.

O, Boże wieczny! O, Boże litości!
Zeszlij mi długą męczarnię przedzgonną,
A potem policz moje nędzne kości
I walkę moją uczyn wieszcznie płonną —
Bo nie umiałam żyć, ani umierać,

Ani zdobywać wolność, ani zbierać
Owoce pracy, ani tęsknić mocno...
Tobie — jam niczem... światu, sobie — niczem...
Życie — jest, śmierć ma — będzie: bezowocną!...
Bom urodzona z umarłym obliczem.

Za mną wysoki mur i mur przedemną —
Pod nogą moją mur i mur nad głową —
We mnie, wkoło mnie — tak straszliwie ciemno:
Już ja nie stworzę nic mocą widmową...
Żelazna krata zwisa wyłamana,
Niedokończony mój czyn pierwszy grzebie...
A zewnątrz gładka, niezdobyta ściana —
To los mój, zdawna zapisany w niebie...

Tako w zaraniu młode, silne ziarno,
Rzucone wichrem na głazy, niszczyje —
Patrząc w dzień złoty, w noc gwiezdną i parną...
Patrząc, skąd słońce wschodzi, skąd wiatr wieje...
Czując tęsknotę do wzrostu... moc twórczą
Ma, lecz się w suszy korzonki wciąż kurczą:
Bez życia, tęskniąc do życia, umiera...
Tak moja dusza umiera. Czy wola
Moja wolna, lecz słaba — grób mi ten otwiera?
Czy to jest los... czy Bóg... czy też dola?...

Gdybym ja dzieckiem samotnem nie była
Bez ojca, gdyby ojciec mnie wiódł w życie,
Toby rozkwitła moja młoda siła,
Jak cedr — korzeniem w głąb — szczytem w błękanie!...
Za głosem ojca do Chrystusa Pana
Szłabym, jak rosy łąk, niepokalana,
Bez tego smutku, co mnie dziś okrywa...
Śród dziewic, co się do Chrystusa garną,
Stałabym wolna, słoneczna i żywa:
Dziś — u nóg leżę, jako piasku ziarno.

Gdybym wiedziała, co matki pieszczota...
Co matki mojej dłoń błogosławiona...
Czasem bolesna ogarnia tęsknota
Przytulić głowę do blizkiego łona,
Lub, kiedy ziemia z pod nóg się usuwa,
Czuć, że nademną ktoś oddany czuwa,
Że w klęsce poda ramię ku obronie.
Lecz, zem nie znała rodzicielskiej pieczy,
Dziś głowę smutkiem obciążoną kłonię,
I dusza — prawdzie objawionej przeczy — —

... Idą dzieciątka cichym, cichym borem,
Liściem paproci strojne, wrzosem wonne;
Ojcu i matce nucą słodkim chorem

Pieśni radosne — ucieszne — pokłonne —
A słońce w róże stroi czołka białe.
Dzieciątka, jako gaj, kwitną na chwałę,
I ziemski ołtarz Bogu w duszach święcą...
Jak słodko Bogu, władcy-mocarzowi,
Być wielbionemu piosnką niemowlęcą...
Nigdy się dla mnie ów sen już nie wznowi!...

Nie pójdę polną zarosłą ścieżyną,
Gdzie łąn w upale czerwonym dojrzewa...
Ani gdzie wody pośród wiklin płyną,
Niby w zwierciedle, odbijając drzewa...
Nie będę skroni chłodzić wód przezroczem —
Ni, gdy zaszepcą wody, słuchać — o czym?...
I, gdy podobno z wiosną pachną gaje,
Nie pójdę witać ich w wiośnianej krasie —
Ni się w cierniowym gąszczu nie zaczaję,
Błogosławiąca ciche gniazda ptasie...

Ani po deszczu, po majowej burzy,
Z komnat na mokre nie wybiegnę drogi
Pluskać się w czystej deszczowej kałuży,
W rozmiękłym piasku drobne topiąc nogi
I lot jaskółek śledząc śród przestworza...
Nie dla mnie płonąć będzie jutrznia hoża

Nad akacyowym, oroszonym gajem,
Kędy bez rośnie, smukła jarzębina,
Wonne oddechy ślące sobie wzajem...
Jak mi to wszystko się dziś przypomina!

... O wczesnym zmierzchu, w zacisznej komnatce
Dzieciątko pacierz przy rodzicach szepce,
Potem zasypia przy ojcu i matce,
Ukołysane w rzeźbionej kolebce:
Doliny, wody, łąki i ogrody
Plotą się we śnie w długie korowody —
Przed jego wzrokiem wciąż płyną i płyną —
A potem dziecię świat zwolna poznaje —
A potem dziecię staje się dziewczyną — —
Gdzieście — ojczy, matko, lasy, gaje?...

O Jezu, Jezu, są dni bezpowrotne...
Każda dziewczyna ma swój świt, poranek,
Swe dni, swe noce pogodne lub słotne,
Swoje ogrody i gaje sasanek — —
Ileż radości — być dziewczyną młodą,
Splatać się w jedno z kwitnącą przyrodą,
Módcz odpowiadać słońku i jutrzence
Kolorem duszy i na modłę wiosny
Rozkwiecać serce i ciało dziewczęce,
Śpiewać z przyrodą jeden hymn radosny!

...Ilem ja razy czuła nadmiar bytu,
Jakieś zamknięte skarby w duszy na dnie,
I jakby nadmiar duszy i błękitu,
I jakąś w sobie moc — nikt nie odgadnie!
Bo zawsze miałam przymknięte powieki
I habit, co mnie uwięził na wieki...
Gdybyż nie trzeba słów i uczuć ważyć,
Móźdz duszę wolną mieć i wolne ciało,
Nadmiarem życia móźdz innych obdarzyć:
Jabym oddała duszę... Zapłakało

Sieroce moje serce. Ileż razy
W płaczące wichrem wieczory jesienne,
Wpatrzona w mgliste wyśnione obrazy,
Czułam wieczystą swęj duszy gehennę!
Ileż to razy, gdy tak wichur płacze,
Zbudzą się nagle tajone rozpacze
I zaszamocą duszą, jak wichur sosną!...
Więc spojrzę w siebie, a pod moim wzrokiem
Tęsknoty, jako łany żyzne, rosna
I ogarniają mnie skrzydłem szerokim!...

...Poranek... Wioska budzi się i gwarzy,
Zaskrzypią wrótnie i studzien zórawie;

Słysząc fujarki dźwięk, głosy owczarzy,
I szara trzódka przebiega w kurzawie...
U wodopoju krowy... dziewczki z dzbankiem...
Wioska, zbudzona słonecznym porankiem,
Z kominów niskich wonne dymy ściele...
Jakgdyby owiec białorunych stadko,
Bielone chaty zwarte przy kościele...
Potem się ciągną w dal — chata za chatką...

Nigdy ja takiej wsi już nie zobaczę,
Nie pójdę w pole na ciemne ugory
Patrząc, jak idą za pługiem oracze...
Pachnące skiby czuję do tej pory,
Po drogach słyszę turkoczące wozy,
Oglądam łąki, moczary i łozy...
Pomnę roboty ogrodowe, polne,
Woń sianokosów i zbiory pszenicy...
Słyszę piosenki ludowe, swawolne,
I pośród wspomnień zagasam z tęsknicy.

...Lub inna praca: człowiek rzeźbi wielką
Myśl w słowie, tonach, drzewie lub marmurze,
Ta myśl się staje ludów żywicielką,
Płynie, podobna piorunowej chmurze,
W przyszłość — i kiedyś po wiekach odgadną

Głos jej, potęgą niezwalczony żadną —
Poznają ślad tej myśli z przed stuleci
W szumiącej fali mórz... w złocistej niwie...
W błękitnych oczach narodzonych dzieci...
W lejących komet rozpalonej grzywie.

... A owa wielka praca, która w piersi
Narodu wiecznie trwa, wieczyście żywa:
Pracę tą dzierżą w narodzie najpierwsi,
Lecz ona w każdym łonie się odzywa...
Z sercem człowieka na ziemię przychodzi!...
To miłość: przez nią ludzkość się odrodzi.
I jeszcze jedna praca: w własnej duszy.
Przeklętym będzie ten, co z własnej winy
Daną od Boga moc w sobie zagłuszy...
I jeszcze jedna praca: dla dzieciny...

O, Matko Boża, Ty znasz te uciechy!
Ty wiesz, skąd płyną moich łez krynice,
Dlaczego moje zagasły uśmiechy — —
Czemu już serca nigdy nie zachwyce!
Choć ani słowem nie skarzę się Tobie,
Odgadniesz, w jakiej usycham żałobie...
Matko — — Ty odczuć możesz ból krzewiny,
Którą w zaraniu zwarzył mróz: choć żyje,

Lecz już nie spełni się jej sen jedyne,
Nigdy się kwiatem barwnym nie okryje...

Przechodzą lata, wiosny i jesienie,
Zimy się srożą mrozem i zawieją,
Stulecia w przeszłość biegną niestrudzenie,
A usta dziecka wieczyście się śmieją
I w przyszłość patrzą słoneczne oczęta,
A biała dusza o złem nie pamięta...
Ktokolwiek zbrudził duszę straszną winą,
Lub zatrul smutkiem, lub się w sercu trwoży,
Ten się uczyje czystym przed dzieciną,
Gdy ona główkę na pierś mu położy.

Zpoza krat moich widzę tak dokładnie,
Jakby runęły wszystkich domów ściany:
Na obraz szczęścia zanim iza upadnie,
Stoi przedemną cudnie malowany...
Widzę szczęśliwe matki... Oto jedna,
Niebo — modlitwą u Boga wyjedna:
Uklęła z twarzą cudną i natchnioną
Nad dzieckiem, śpiącym w puchowej pościeli,
W górze aniołów białych czuwa grono,
Aż się dziecięcia twarz snem rozanieli...

Cisza w komnacie. Złotem błyszczą ściany,
Błękitne lampy cień rzucają blady
Na ścian tych złoto, na miękkie dywany
I na biegnące pod stropem arkady.
Smolne łączywo na kominie płonie
I na kolebki jedwabnej zasłonie
Maluje dziwne kwiaty i kolory — —
Matka pochyla twarz nad dziecka głową,
A wtem zanucą jej anielskie chory
Dzieciątka przyszłość jasną i tęczową!...

... Znów obraz inny... Opuszczone rżysko
W wełnistej białej mgłę, niby w kurzawie;
Mgły, jak baranki, pokładły się nisko,
Kłębami ziemi dotykając prawie,
A z góry złotem, lecz zamglonem okiem,
Hen, słońce wodzi po rżysku szerokiem.
Gdzie spojrzy... przedrze się mgieł biała tkanka
I zapomniane błysną złotem kłosa,
A mgła się zwinie w biały kształt baranka
I srebrną chmurką popłynie w niebiosy — —

Śród pól — kobieta. Wkoło: zimne rosy...
Mgły się splatają u zgrzebnej koszuli,
Ona w dłoń prawą rzadkie zbiera kłosa,

A lewą dziecię rozpłakane tuli.
A gdy już dźwignie ciężki snopek pszenney,
Odetchnie, w niebo niosąc wzrok promienny.
Wtedy rozedrze się mgieł białe płótno,
Jak wielkie skrzydła, popłynie w powietrze:
Słońce rozśmiej się nad ziemią smutną
I lzy dzieciątka promykiem obetrze.

A potem kąpie je w złocistej fali...
Dziecię zaklaszcze w rączki... główką ruszy...
Oto włos każdy w tęczę się rozpali,
W oczach ukażą się iskierki duszy...

.....
Miej litość nad tem sercem mojem, Boże,
Które u tronu Twojego położę,
Od łez zachwyty i od wzruszeń drżące!...
W samotni mojej widzę, jak z Twej dłoni
Wyszłe żywoty — idą popod słońce,
A duszy mojej płacz za niemi goni!...

Na drogach wielkich, na małej drożynie,
Pośród pałaców, w chatce i namiocie,
W pracy i we łzach tyle żyje... ginie...
Niewiast, oddanych smutkom lub tęsknocie!...
A wszystkie czujne, gdy błysnie zaranie

Na dążeń ludzkich wielkim oceanie!
Nad niemi wichry złej i dobrej doli...
Przed niemi gwiazdy, albo gwiazdki małe...
Coś je tam cieszy, coś trudzi, coś boli:
Na czyjąś zgubę żyją, lub na chwałę...

Ktoś je pociesza, kocha i prowadzi...
Ktoś nienawidzi, albo cierpieć każe...
Jedną wyśniony dzień o zmierzchu zdradzi —
Innej los niesie ofiarne ołtarze...
Najnieszczęśliwsza, co trwa poza życiem,
Na dróg rozstaju, popod wichru wyciem:
Walki chce pierś jej! ramię trudów żąda,
A ona stoi niema przez noc długą
I w ciemną pustkę, nie widząc, spogląda,
Płacz swój z płaczącą mieszając szarugą!

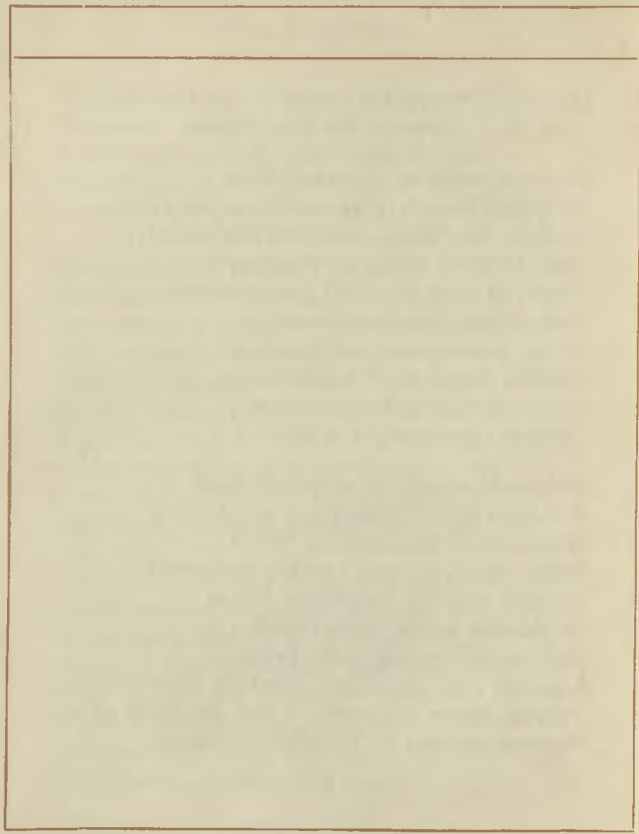
... Życie rozkwita na ziemskim obszarze...
Tam siostry moje z oczyma tęsknemi
Idą ku celom, które Bóg im wskaże, —
Walczą... Lecz niema mnie pomiędzy niemi!
W ich narodzinach, rozkwicie i zgonie
Ni jedną iskrą byt mój nie zapłonie!
Czy jako żony, matki, robotnice,
Jako władczynie, czy jako ginące —

Czy łyż je karmią, czy śmiech... czy tęsknice...
Obce mi!... Bytem o ich byt nie trączę.

Bo sama jestem na ogromnej ziemi.
O, trwogo duszy!... Tam sióstr czuwa grono...
Przebóg! lecz niema mnie pomiędzy niemi!...
Sama trwam z duszą, na węgiel spaloną,
Czując, że smutek śmierci jest zwiastunem,
Duszę i ciało spowije całunem,
Że raz ostatni serce zawieruszy,
Ostatnie zbudzi myśli buntownicze,
Pocałowanie śmierci dając duszy...
Ostatnie moje sekundy policzę.

W krypcie klasztornej spopielale kości,
Z których ostatni kształt mój się ulotnił —
Jeszcze raz Bożej zaprzeczą litości
Świadectwem, że mnie tak Bóg osamotnił!
Na grób mój, łzą nieopłakany żadną,
Ze sklepień krople wilgoci upadną —
Jako jedyne łyż nad moim bytem.
Lecz mój duch wzgardzi niebieskiem schronieniem
I płynąć będzie nad miast — nad gór szczytem —
Płaczem tęsknoty za ludzkim plemieniem.





SPIS RZECZY.

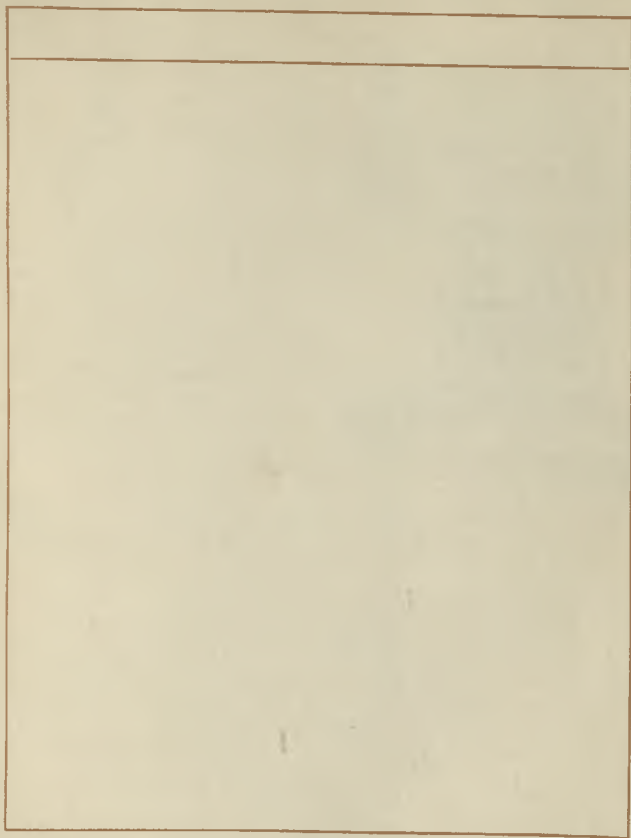
Dlaczego	1
Wicher	2
Przezucie	3
Na polanie leśnej	4
W parku	5
W słońcu	6
Zachód słońca	7
Zmierzch	8
W nocy	9
Jezioro	10
Spoczynek	11
Przed burzą	12
W jesieni	13
Zmrok jesienny	14
W oddaleniu	15
Wozy w stepie	16
Wschód księżyca	17
O zmroku w stepie	18
Noc w stepie	19
Samotność	21
W wigilię Bożego Narodzenia w nocy	22
Sen	23
Godzina	24
Sen	25

SPIS RZECZY

Modlitwa	26
Tęsknota I—XI	28
Orka	39
Pogrzeb	40
Śmierć	41
O miedzę	42
Zamyślenie	43
Tęsknota moja bez nazwy	44
Czemu wichrem nie jestem	46
Smutek	47
Dzień i noc	49
Dzisiaj	50
W nocy	51
Noc	52
Dusza	53
Dusza	54
Przebudzenie	56
O, biały Chryste	57
Modlitwa	58
Modlitwa	60
Hymn	62
Różaniec	65
Mieć duszę	67
Żegluga	69
Śród paproci	71
Błogosławieni cisi	73
W klasztorze (poemat)	76

□

1-19,698





<http://arxiv.org/abs/1211.6911>

E * 410588

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



E * 410588

XXXXXXXXXX

1
19.698



<http://rcin.org.pl>

I

19.698